

małolodrze

ZIELONA GÓRA 24 VIII 1986 — 6 IX 1986 R.
ROK XXX NR 17 [622] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

TESTAMENT OJCÓW

ROZMOWA Z TOMASZEM SPYCHAŁĄ, PRZEWODNICZĄCYM SPOŁECZNEGO KOMITETU BUDOWY SZKOŁY - POMNIKA RODŁA W DĄBRÓWCE LKP.

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA: — Stowarzyszenie „Wisła-Odra” zaproponowało wybudowanie w Dąbrówce Wielkopolskiej, wsi pod Zbąszynem, szkoły — pomnika „Rodła”. Dlaczego właśnie tutaj?

TOMASZ SPYCHAŁA: — Sytuacja o której mówimy, wyglądała nieco inaczej. Nie „Stowarzyszenie” wystąpiło z propozycją budowy szkoły, ale zbilansowana Dąbrówka. Najdobitniej o głos było słychać na spotkaniu z — wtedy kandydatem, a dziś — posłem na Sejm i przewodniczącym Stowarzyszenia, Edmundem Męclewskim. Wśród wielu omawianych problemów, najważniejszym okazała się budowa nowej, dużej szkoły podstawowej. Już dziś 143 dzieci uczą się na dwie zmiany, zaś w 1990 roku, czyli za cztery lata, będzie 248 dzieci, którym przychodzi się uczyć na trzy zmiany! Trudno nawet to sobie wyobrazić. Nauka i praca w szkole trwałaby ponad 13 godzin. Uważam, że byłoby to niemożliwe.

— Budowa szkoły jest zatem potrzebą chwili. Ale nazwa „Szkoły-Pomnika Rodła” wskazuje też na uwarunkowania historyczne.

— Potrzeba istnienia w Dąbrówce polskiej szkoły datuje się od lat międzywojennych, kiedy wieś pozostawała w granicach państwa niemieckiego: niecałe cztery kilometry dzieliły nas od Rzeczypospolitej. W czasie ustalania granic po I wojnie światowej, do Strzyżewa, gdzie urzędowała pod nadzorem Ligi Narodów międzynarodowa komisja, udała się delegacja Dąbrowian z prośbą o włączenie ich wsi do Polski. Niestety historia uczy nas, że misja się nie powiodła. Dopiero ostatnia wojna zmieniła dotychczasowy stan rzeczy. Wracając do lat dwudziestych — w 1923 r. powstał Związek Polaków w Niemczech „Rodło”, który kultywował i niejako podsycał potrzebę polskości — mówienia w ojczystym języku, uczenia się, znajomości historii, literatury. Jedną z inicjatyw ZPwN były szkoły, które za cztery lata powstawały w 1929 roku. Taką szkołę otworzono również w Dąbrówce Wielkopolskiej. Było to możliwe dzięki umowie międzyrządowej — Pilsudski zezwolił na prowadzenie niemieckich szkół w Polsce, zaś Niemcy rewanżowali się zgodą udzieloną mniejszości polskiej. Zatem — nowa szkoła w Dąbrówce byłaby pamiątką wydarzeń sprzed prawie sześćdziesięciu lat.

— Czy w obecnym budynku dzieci polskie uczyły się od samego początku?

— Nie, nie. Budynek, o którym mówimy, był przed wojną szkołą niemiecką, zaś szkoła polska, mniejszościowa, mieściła się w trzech różnych domach prywatnych. Ich gospodarze użyczali gościny w swych największych pokojach.

Mimo zgody na prowadzenie zajęć w języku polskim Niemcy nie wyrazili aprobaty na budowę prawdziwej szkoły. A przecież zgromadzono cały potrzebny materiał, wykupiono ziemię. Poza tym, jak ostatnio zbadał zielonogórscy studenci, w Banku Ludowym w Dąbrówce zgromadzono 13 tysięcy marek. Była to duża suma, np. dobry koń kosztował 100 marek, czyli 130 koni można było kupić za te pieniądze. Niestety, całą kwotę zabrali Niemcy, likwidując w 1939 roku bank. Po wybuchu wojny zlikwidowano też szkołę, a 32 patriotów wywieziono. Obozy i więzienia przeżyło 8 osób.

W czasie wojny istniała dla polskich dzieci szkoła, choć trudno, zajęcia odbywały się raz w tygodniu przez dwie godziny, nazwać lekcjami. Pamiętam, że nauczyciela bardziej obchodził stan gospodarki naszych rodziców i zdolność oddawania kontyngentów, aniżeli język niemiecki czy matematyka. Prawdziwa nauka zaczęła się dopiero w marcu 1945 roku w budynku szkoły ponemieckiej. I w nim trwa do dziś.

— Jaka zatem ma być nowa szkoła w Dąbrówce?

— Planuję przewidzieć osiem klas (teraz jest tylko pięć), dwa gabinety, między innymi — fizyczny oraz — salę gimnastyczną. Poza tym będzie gabinet lekar

ski i stołówka na 150 miejsc. W szkole znajdzie się też pomieszczenie na Izobę Muzealną, zorganizowaną ongiś przez panią Wandę Chelkowską, nauczycielkę w szkole spod znaku „Rodła”. Muzeum Lubuskie obiecało nam pomoc w inwentaryzacji dokumentów i urządzeniu sali.

— Co będzie w starym budynku?

— Tak daleko w przyszłość jeszcze nie sięgaliśmy. Najprawdopodobniej po myślimy o przedszkolu, bowiem obecne, podobnie jak szkoła, „pęka w szwach”.

— Jaki jest stan budowy szkoły?

— Niestety, ZERO. Na placu budowy jeszcze nie się nie zaczęło. Dopiero skończyli się nasze, prawie rok trwające, kłopoty z ustaleniem lokalizacji szkoły, a zaczęły się trudności formalne, biurokratyczne. Chcieliśmy prawnie przejąć ziemię na własność, ale nie możemy tego załatwić, bowiem w urzędzie notarialnym w Wolsztynie brakuje osoby kompetentnej.

Jeśli w sześćdziesiąt rocznicę powstania szkoły „Rodła”, czyli w 1989, chcemy otworzyć szkołę w Dąbrówce, musimy we wrześniu jeszcze zrobić fundamente. Inaczej nie zdążymy. W pomysłowym przypadku, gromadząc zimą niezbędne materiały, moglibyśmy już wiosną ruszyć z budową.

— Kto jest wykonawcą robót? Jak wygląda sprawa pomocy z zewnątrz i pomocy mieszkańców Dąbrówki?

— Głównym wykonawcą jest wolsztyński KPRB, ale do prac włączy się też wojsko z Lubuskiej Brygady WOP, które chce nam zrobić fundamenty. Mieszkańcy wsi będą przywozić materiały budowlane i wywozić ziemię własnym transportem, co jest przecież bardzo ważne. Poza tym każdy Dąbrowianin, i młody i stary, jest opodatowany na łączną sumę 10 milionów złotych (wieś liczy 1380 osób).

— Jaki jest koszt budowy i kto, poza mieszkańcami wsi, w nim uczestniczy?

— Według wstępnych szacunków szkoła będzie kosztowała 120 milionów. W Dąbrówce zebraliśmy już 280 tysięcy. W zeszłym roku „Gazeta Lubuska” przekazała 350 tysięcy złotych. Poza tym liczymy na część zysków z festynu, który odbył się w Drzonkowie. Użytkownikami poparcie Kuratorium Oświaty i Wychowania w Zielonej Górze i Ogólnopolskiego Komitetu Pomocy Szkole. W imieniu Komitetu deklarację podpisał wicepremier Zbigniew Gertych. Po moc finansową obiecał również wojewoda zielonogórski. Z całego kraju przychodzą przekazy na rzecz budowy, także deklaracje pomocy w ramach hufców Związku Młodzieży Wiejskiej i Związku Harcerstwa Polskiego.

Wokół idei rodzi się wiele inicjatyw, np. Lubuskie Towarzystwo Kulturalne i Lubuskie Zespoły Sportowe będą zbierać książki dla przyszłej biblioteki szkolnej.

— Czy dla Pana, człowieka pełniącego funkcję sekretarza Komitetu PZPR Miasta i Gminy w Zbąszynku, szefa regionalnego zespołu pieśni i tańca „Dąbrówka”, mającego dom, rodzinę, nowa funkcja — przewodniczącego Komitetu Budowy Szkoły-Pomnika „Rodła” w Dąbrówce Wielkopolskiej, nie jest zbyt dużym obciążeniem?

— Oczywiście, nowa funkcja oznacza nowe obowiązki i więcej pracy, zabiegów, kłopotów. Ale przecież sama myśl jest piękna; porwała do czynu całą naszą wieś. Chciałbym, aby moje wnuki uczyły się w nowej szkole. Marzę, by udało się zrealizować testament ojców i myśleć, że wszyscy wspólnie damy sobie radę. Przecież budujemy w Polsce tyle obiektów...

Rozmawiała: **MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA**

Od Redakcji: Podajemy adres i konto bankowe, na które wpłacać można pieniądze na budowę szkoły:

Szkoła — Pomnik Rodła w Dąbrówce Wlkp.
wsi odznaczanej „Krzyżem Grunwaldu”
Bank Spółdzielczy w Zbąszynku
konto nr 997502-19275-132
Społeczny Komitet Pomocy Szkole
Kolo Stowarzyszenia „Wisła-Odra”
66-311 Dąbrówka Wlkp.



Fot. ZBIGNIEW WALEŃSKI

Oświata i nauka na Ziemiach Odzyskanych

MIARA DOROBKU I DOŚWIADCZEŃ

Hieronim Szczegół

NAUKA POLSKA jest od wielu lat zgodna, że decydującą rolę w procesie repolonizacji i integracji Ziem Zachodnich odegrała szkoła. Najpełniej wyraził to już w 1966 r. prof. Władysław Markiewicz pisząc: „Wyjątkowo doniosłą rolę w procesie integracji społecznej na ziemiach odzyskanych odegrała szkoła i nauczyciel. Żadna kategoria pracowników nie przyczyniła się do tego, mierze co nauczyciele do zespolenia ludności tych ziem wokół wspólnych ideałów, do zniwelowania uprzedzeń i kompleksów nacjonalistycznych, religijnych, rasowych i innych, utrudniających początkowo zgodne współżycie różnych środowisk i grup społecznych”.

W stosunkowo krótkim czasie i przy udziale często przypadkowych ludzi uruchomiono na ziemiach odzyskanych ponad 6 tysięcy szkół podstawowych, najczęściej wyżej zorganizowanych niż za czasów niemieckich. Ogromna była rola szkoły i nauczyciela w procesie ni

wielowania separatyzmów regionalnych i grupowych, zwłaszcza na wsi. Szkoła integrowała nie tylko młodzież pozostającą w jej zasięgu, ale przez uczniów — także osoby dorosłe. Szkoła i potrzeba wykształcenia były głównym czynnikiem kojarzącym rozbieżne interesy i dążenia.

Na Ziemiach Odzyskanych zastaliśmy bardzo złe dziedzictwo bazy materialnej oświaty i kultury z okresu rządów niemieckich. Niedostateczna sieć szkolnictwa wyższego i średniego, mizerne wyposażenie materialne szkół, pogłębiane przez zniszczenia wojenne i zupełny brak polskiej książki, to tylko niektóre czynniki utrudniające starty polskiej oświaty i szkolnictwa wyższego po wojnie.

Lata odbudowy i repolonizacji kształtowały postawy aktywne, społeczne i zaangażowane, mimo że podejmujący pracę nauczyciele trafiali tu różnymi

drogami. Organizatorzy szkolnictwa kierowani byli najczęściej przez władze polityczne i oświatowe z Poznania, Leszna, Gniezna oraz z Bydgoszczy. Nauczyciele przyjeżdżali wraz z repatriantami ze Związku Radzieckiego. Trudne pionierskie czasy sprzyjały otwieraniu się postaw zaangażowanych i odchodzeniem ludzi przypadkowych. W chwilach trudnych nauczycielstwo udzielało pełnego wsparcia władzy ludowej. Protestowało przeciw zamiarom rewizji układów poczdamskich, pomagało w okresie referendum i wyborów do Sejmu Ustawodawczego, czy też w okresie trudności aprowizacyjnych i gospodarczych.

Tradycja tutejszego szkolnictwa jest mocno związana z tradycją Polski Ludowej. Tylko szkoły w środowiskach

opinie i refleksje

W perspektywie — szczytu

4 sierpnia ogłoszono jednocześnie w Moskwie i Waszyngtonie, że w dniach 19 i 20 września br. spotkają się w stoicy USA szefowie dyplomacji obu państw — Edward Szwedradz i George Shultz. TASS ograniczył się tylko do podania oficjalnego komunikatu w tej sprawie. Natomiast rzecznik Departamentu Stanu powiedział, że „Obaj dyplomaci przedyskutują, jakie dodatkowe przygotowania mogą być potrzebne, aby „szczyt” (tj. spotkanie Gorbaczow — Reagan) mógł odbyć się w tym roku.

Ustalenie daty waszyngtońskiej wizyty Eduarda Szwedradza — stwierdza korespondent agencji REUTERS powołując się na anonimowych przedstawicieli administracji amerykańskiej, rozjaśniło perspektywę „szczytu” supermocarstw w tym roku. „Być może, że jesteśmy już za górką” — powiedział jeden z nich. Wprawdzie ci oficjalni reprezentanci nie byli gotowi potwierdzić kategorycznie, że szczyt odbędzie się jeszcze w 1986 r. Powiedzieli, że „mnóstwo rzeczy pozostało jeszcze do zrobienia”.

Jest to oczywiście prawda, ale z dłużej praktyki uważnego obserwatora wydarzeń zbiegających się na arenie międzynarodowej wiem, że nie zwolnie się konferencji na tak wysokim szczeblu, jakim jest spotkanie ministrów spraw zagranicznych, jeśli nie rokuje ono nadziei na pozytywne ustalenia. Zresztą komentatorzy polityczni są zgodni, że „radziecka ofensywa pokojowa”, zmanifestowana szczególnie dobitnie pakietem doniosłych propozycji rozbrojenia przedstawionych przez Michaiła Gorbaczowa we Władywostoku, nie może nie skłonić Reagana (z uwagi chociażby na nacisk własnej i sojuszniczej opinii publicznej) do podjęcia przynajmniej dyskusji nad tymi inicjatywami i to w bezpośrednim spotkaniu z przywódcą radzieckim.

O randze propozycji tego ostatniego świadczy fakt, że przemawiając w Glassboro do absolwentów tamtejszej uczelni, Reagan powiedział nieoczekiwanie, iż list jaki otrzymał od Gorbaczowa jest dowodem tego, że przywódca radziecki „podejmuje poważne wysiłki w celu osiągnięcia porozumienia między ZSRR a USA”, a stosunki między obu państwami — „mogą niebawem znaleźć się w punkcie zwrotnym”.

Niestety jednak, odpowiedź prezydenta USA na list sekretarza generalnego KC KPZR nie potwierdza gotowości Waszyngtonu do podjęcia naprawdę konstruktywnego dialogu z Moskwą, na najważniejsze dla ludzkości tematy. Jak stwierdza PRAWDA — odpowiedź Reagana, nie obejmuje kluczowych problemów związanych z ponownym spotkaniem na szczycie. Jak wiadomo, te węzłowe problemy, to po pierwsze — ściśle przestrzeganie zasady jednakowego bezpieczeństwa, a po drugie — przerwanie wyścigu zbrojeń na Ziemi i nie do puszczanie do przeniesienia go w Kosmos.

Te — łagodnie określając — defensywne postawy Waszyngtonu wobec wielkiej panoramy pokoju światowego, zarysowanej przez przywódcę radzieckiego, odnotowuje również prasa amerykańska. Znaną tygodnik TIME pisze tak: „Jeśli posłużymy się terminologią szachową wygląda to tak, jak gdyby USA zamiast grać białymi (tj. jako pierwsze wysuwać konkretne propozycje — M.H) zdecydowały się grać czarnymi, pozwalając ZSRR na posuwanie jego figur w kierunku środka szachownicy”. O słuszności tej oceny świadczyć może zignorowanie przez Waszyngton apelu tzw. „grupy sześciu” (tj. przywódców Szwecji, Grecji, Tanzanii, Indii, Argentyny i Meksyku) wzývające go do zaniechania wszelkich prób nuklearnych. Jak wiadomo, ZSRR jeszcze 6 sierpnia ubiegłego roku ogłosił jednostronne moratorium na te próby.

Jest wielu wybitnych polityków amerykańskich, którzy uważają, że dyplomacja i polityka nowego kierownictwa radzieckiego w sposób trwały wpłynęła na postawę opinii publicznej w krajach Europy Zachodniej, a nawet w USA oraz że aprobatą dla polityki ZSRR będzie się zwiększać. Miejmy nadzieję, że poglądy te wpłyną z kolei na postawę prezydenta USA w okresie nadchodzących przygotowań do „szczytu” a także podczas samego spotkania, które — jeśli tylko dojdzie do skutku — będzie wydarzeniem wielkiej wagi.

MICHAŁ HOROWICZ

Zniwa 1986 dobiegły końca. Rzepaki były lepsze, natomiast zbiory zbóż na poziomie dobrego, ubiegłego roku. Niezależnie, nawet staranne przygotowanie parku maszynowego, sprzyjające warunkom atmosferycznym, złożyły się na to, że zbiory z pól zostały zebrane szybko i bez strat.

W 1986 roku nie było potrzeby uruchamiania suszarni. Podczas zniw zaoszczędzono więc spore ilości energii. Suche, dorodne ziarno zostało skupione od rolników równie sprawnie. W tym roku nie mogą oni narzekać na działalność punktów skupu. Nie było kolejek i marnotrawstwa czasu.

Życie nieczęsto dostarcza nam okazji, aby o faktach gospodarczych było można pisać w podobnym, optymistycznym tonie, zwłaszcza jeśli dotyczą one całej dziedziny gospodarki jaką jest rolnictwo województwa zielonogórskiego. By-

ły to zniwa obfitości sznurka snopowiażkowego którego naprodukowano tyle, że magazyny są nim przepełnione.

Z REGIONU

Radość i smutek rolników

Trzeba jednak też powiedzieć i o tym, że obciążona obfitością podstawowych artykułów w placówkach handlu

wiejskiego, była bardziej zysaniem, aniżeli faktem. Niektóre sklepy funkcjonowały sobie tak jakby zniw w ogóle nie było. Niektóre, nieliczne co prawda, były całkiem zamknięte z powodu urlopu personelu. Nie wszystkie placówki handlu wiejskiego zaopatrzone były w napoje chłodzące. Wytworzenie nie dysponowały dostateczną ilością dwutlenku węgla. Trudno. Jeśli się będziemy bardzo wszyscy starali, to powitamy rok 2000 w pełnej obfitości oranzady, wody sodowej, mając w pełni rozwiązany problem butelek, kapsli, barwników, esencji smakowych i białek a w sklepach agregaty mrozące będą całkiem czynne.

Rolnictwo jest jednak na tyle skomplikowaną dziedziną gospodarki, że sytuacje optymistyczne mają charakter niejednoznaczny. Słońce sprzyjało zni-

wiarzom, maszynom, które mniej się psuły. Były to zniwa krótkie, energooszczędne. Niedostateczne wyposażenie w sprzęt do zbioru słomy, zwłaszcza w prasę i ta sama słoneczna pogoda, brak opadów, stawały pod znakiem zapytania sens podorywek i siew poplonów. A poplony w warunkach glebowych województwa zielonogórskiego mają duże znaczenie w ogólnym bilansie pasz. Jeśli nie będzie opadów, pod znakiem zapytania stanie intensyfikacja hodowli. Jest to groźba poważna nie tylko dlatego, że nie będzie poplonów, ale również znacznie gorsze plony okopowych, szczególnie ziemniaków, podstawowej paszy dla trzody. (w)

Za ODRĄ

Pisarz dwu narodów

W czerwcu 70 rocznicę urodzin obcho- dził wiceprezydent Związku Pisarzy NRD, najwybitniejszy współczesny pisarz lużycki, popularny w całej NRD — Jurij Brezan. Z tej okazji pisarz, stale mieszkający w pobliżu Budziszyna na Łużycach, otrzymał wiele listów i życzeń od organizatorów i czytelników.

J. Brezan urodził się w Räckelwitz, pow. Kamenz, w rodzinie chłopów-robotników. W 1936 r. został „z powodu politycznej niedojrzałości” wydalony z gimnazjum w Budziszynie. Najpierw wyjechał do Pragi, a potem do Polski, by w 1938 r. złożyć maturę w gimnazjum toruńskim. Po powrocie na Łużyce hitlerowcy aresztowali go i osadzili w więzieniu w Dreźnie. Zwolniony, otrzymał nakaz opuszczenia Łużyc, jak zresztą wielu patriotów lużyckich. Przebywał do 1941 r. w północnych Niemczech i mimo zakazu mieszkania na Łużycach, wrócił w rodzinne strony. W latach 1942-45 wcielony do Wehrmachtu, przebywał na froncie. Po powrocie z niewoli rozpoczął pracę zawodową w Związku Serbów „Domowina”. Od 1949 r. jest pisarzem zawodowym, członkiem PEN-Klubu i Akademii Sztuk NRD. Za swoją działalność literacką i społeczną otrzymał, m.in. Nagrodę Państwową (1951, 1964, 1976), Nagrodę im. Ciesińskiego (1959, 1962), Nagrodę Literacką „Domowiny” (1973), Order im. Karola Marksa (1974). Jego utwory zostały przetłumaczone na wiele języków, m.in. na japoński, chiński, gruziński. Żyjąc wśród Łużyczan i Niemców w NRD — nazywany jest pisarzem dwóch narodów.

Czytelnik polski miał okazję zapoznać się z wieloma utworami J. Brezana. W latach 1958-64 nakładem „Słaska” ukazała się trylogia o Feliksie Hanuszu („Gimnazjalista”, „Semestr straconego czasu” i „Lata męskie”), w 1966 opowiadanie „Wycieczka do Krakowa”, a w 1984 — „Krabat”, największe dzieło prozą tego autora. (s)

Prezentacja polskich filmów

Na ekranach kin Niemieckiej Republiki Demokratycznej często goszczą polskie filmy. Ostatnio prezentowane są następujące pozycje: „Jeziro Bodeńskie” nakręcone wg znanej powieści Stanisława Dygata. Jest to film realizowany w 1985 roku. Świadczy o tym, że stosunkowo szybko po polskiej premierze nasze filmy trafiają na ekrany kin NRD. W jeszcze większym stopniu dotyczy to filmu, który niedawno miał premierę w Polsce a już wyświetlany jest u naszych zachodnich sąsiadów. Chodzi o mianowicie o film „Dziwczęta z Nowolipiek” i „Rajska jabłoń”, zrealizowane przez Barbarę Sass na podstawie powieści Poli Gojawiczyńskiej.

W kinach NRD prezentowany jest także, wyróżniony na wielu międzynarodowych festiwalach, znany film Radosława Piwowarskiego „Jesterday”. Prasa NRD informuje, że film cieszy się dużą popularnością i nie słabnąca frekwencja, i wyświetlany jest obecnie na ekranach kin wielu miast m.in. w Berlinie, Lipsku, Poczdamie, Szwerinie i Magdeburgu.

Bardzo dobrą prasę ma w NRD film Janusza Zaorskiego „Baryton”. Krytycy podkreślają wysokie walory artystyczne i formalne tego dzieła. W pokazach filmu przed niemiecką publicznością udział brali: reżyser filmu oraz aktorzy, którzy wcieli się w główne role. — Małgorzata Pieczyńska. (h)

Atrakcyjna oferta eksportowa

Niemiecka Republika Demokratyczna jest liczącym się eksporterem pojazdów synowych. Głównymi odbiorcami produkowanych tam wagonów osobowych, re-

stauracyjnych, sypialnych a także wagonów — chłodni, wagonów towarowych, węglarek itp. są kraje RWPG. Wiele pojazdów synowych produkowanych u naszego zachodniego sąsiada trafia do krajów rozwijających się: Iranu, Iraku, Syrii, Egiptu, Indonezji a nawet do Panamy. NRD eksportuje również swe wagony na rynki zachodnioeuropejskie do RFN, Francji, Szwecji i Austrii.

A oto kilka interesujących danych na ten temat. W latach 1981-85 Czechosłowacja kupiła w NRD 850 wagonów osobowych, Bułgaria 20 wagonów restauracyjnych, 60 wagonów sypialnych i 20 z tzw. kuszetkami. Również Polska w ramach wzajemnej wymiany towarowej otrzymała pewną ilość wagonów osobowych i sypialnych. Jeśli chodzi o kraje rozwijające się, to Iran zakupił w tym zakresie 165 wagonów osobowych i 25 chłodniczych, Syria 680 wagonów towarowych, zaś Irak 85 wagonów osobowych. Ostatnio dostarczono w skatorowe wagony osobowe do Ugandy oraz partię 200 wagonów specjalnie przystosowanych do przewozu bananów — do Panamy.

Niemiecka Republika Demokratyczna jest również producentem wagonów przeznaczonych dla szerokokorowej kolei radzieckiej, wagonów ekspresowych a także specjalizuje się w dwukondygnacyjnych — otrzymywanych również przez Polskę — wagonów, używanych przeważnie na krótszych trasach. (h)

Stary młyn gości pacjentów

Od kilku miesięcy funkcjonuje w Zesch, małej miejscowości w pobliżu Neschwitz ośrodek zdrowia. Mieści się w starym młynie, z którego w przeciągu kilku miesięcy zrobiono nowoczesną przychodnię, przez którą w ciągu dnia przebijają się dziesiątki pacjentów. Po wstała ona w „Innym wysiłkiem finansowym i organizacyjnym 18 młoch za kłód pracy. Niewielkie finansowe i techniczne środki będące w dyspozycji załóg oraz nadwyrżone siły robocze wykorzystano w ten sposób, że przebudowano stary młyn, zmodyfikowano instalację i zakupiono niezbędną aparaturę.

Pacjenci znajdują tu stałą opiekę pielęgniarską oraz korzystają z pomocy lekarskiej. Zainstalowano m.in. krótkofalową aparaturę leczniczą. Dla niemowląt urządzono siłownię i kąpielnię, a dla nieco większych dzieci ćwiczenia ortopedyczne. Wśród młodzieży i dorosłych dużym powodzeniem cieszy się sauna, przy której zainstalowano basen z ciepłą i zimną wodą. Stary młyn nosi dziś nazwę „Dom Zdrowia”. (Alfa)

Wkrótce mieszkanie dla każdego

Niski czynsz, to jedna z cech polityki społecznej NRD. Stanowi on niecałe 10 proc. średnich zarobków, a gdy w rodzinie pracują dwie osoby, co jest w tym kraju niemal regułą, wskaźnik ten nie przekracza 5 proc. dochodów. Nie trudno dostrzec, iż w przeciwnieństwie do wielu innych krajów, zwłaszcza kapitalistycznych, mieszkania w NRD są bardzo tanie.

Artykuł 37 Konstytucji NRD mówi, iż każdy obywatel tego kraju oraz jego rodzina mają prawo do własnego mieszkania. Zasadę tę konsekwentnie realizuje się w praktyce. W ciągu minionych 20 lat do nowych mieszkań wprowadzono ponad 10 mln obywateli. Od 35 lat czynsze utrzymywały się na niezmiennym poziomie. Polityka taka jest niezwykle kosztowna. Realizacja programu budownictwa mieszkaniowego uchwalonego na VIII Zjeździe NSPJ pochłonęła już ponad 260 mld marek. Stanowi to około 10 proc. wartości całego produktu narodowego netto. Również w uchwale XI Zjazdu NSPJ nadaje się budownictwu mieszkaniowemu rangę najwyższą, czego dowodem jest zapowiedź całkowitego rozwiązania problemu mieszkaniowego kraju do roku 1990. Oznacza to, że do tego czasu każda rodzina w NRD będzie miała własne mieszkanie. (x)

Remont

w „Bodemuseum”

Turystów wybierających się na wycieczkę do stolicy NRD uprzedzamy, że

jedno z najciekawszych muzeów w NRD im. Wilhelma Bode'go (Bodemuseum) zostało zamknięte na okres kilku miesięcy. W muzeum przeprowadza się rozległe roboty i remonty. Remontowi poddane jest wnętrze, a więc czasza kopuły i stiuki. Ściany zostaną oczyszczone i wypolerowane. Muzeum będzie wyposażone również w kawiarenkę i foyer. Niestety zakończenie robót planowane jest dopiero na koniec roku. Do tego czasu bogate zbiory nie będą mogły być udostępnione.

Dla miłośników sztuki zostaje jednak inna wspaniała berlińska placówka — Muzeum Pergamońskie. (Alfa)

ZALĄBA

Rozwój handlu między RFN i NRD

Według danych opublikowanych przez federalne ministerstwo gospodarki, handel między NRD i RFN osiągnął w 1985 r. rekordowy poziom — 16,7 mld marek zachodniemieckich. Niemiecka Rada Przemysłowo-Handlowa (DIHT) w Bonn oraz Niemiecki Instytut Badań Gospodarczych (DIW) w Berlinie Zachodnim zastanawiają się jednak — jak pisze biuletyn informacyjny bońskiego ministerstwa ds. stosunków wewnętrznioeuropejskich (nr 7) — czy tak wysokie obroty handlowe między obydwoma krajami osiągnięte zostaną również w 1986 r. Głównymi przyczynami powstałych w ostatnim okresie na tym tle wątpliwości jest znaczny spadek cen ropy naftowej oraz kursu dolara.

DIW podkreśla m.in., że wielkość obrotów handlowych w znacznym stopniu zależy od eksportu NRD pochodnych ropy naftowej, w tym przede wszystkim oleju napędowego. Jednocześnie spadek kursu dolara przyczynił się również do ponownego wzrostu konkurencji ze strony Włoch oraz krajów Azji południowo-wschodniej, przede wszystkim Hongkongu oraz Singapuru, w zakresie wyrobów przemysłu tekstylnego eksportowanych na rynek zachodniemiecki. Dane statystyczne opublikowane przez DIHT wskazują, że RFN jest wciąż jednak spośród krajów Europy Zachodniej głównym odbiorcą tego rodzaju wyrobów produkowanych w NRD.

Według oceny Niemieckiej Rady Przemysłowo-Handlowej spadek cen ropy naftowej „w sposób uderzający” oddziałuje na wszystkie słabości struktury handlu między NRD i RFN. NRD oferuje swym zachodniemieckim partnerom głównie surowce oraz wyroby o niewielkim stopniu przetworzenia. Udział wyrobów tego kraju o wysokim stopniu przetworzenia w eksporcie do RFN obecnie kształtuje się jedynie na poziomie 11 proc. Optymizm co do dalszych perspektyw rozwoju swych obrotów handlowych z NRD wyrażają natomiast przedstawiciele zachodniemieckich przedsiębiorstw zajmujących się produkcją stali — pisze boński biuletyn informacyjny. Podkreślają oni, że na wiosennych Międzynarodowych Targach Lipskich, które odbyły się w br. wprawdzie nie zawarto większych nowych porozumień z NRD, jednak tak jak w ub. r. rozwój handlu w tym zakresie uznano za zadowalający.

Z badań DIHT wynika również, że w 1986 r. NRD „ma niemal zapewnione” dostawy niektórych rodzajów maszyn i urządzeń przemysłowych oraz elektrotechnicznych. Pozytywnie ocenia się także dalszy eksport obrabiarek oraz wyrobów przemysłu odzieżowego do NRD. Z kolei zachodniemieckie przedsiębiorstwa przemysłu chemicznego liczą raczej na utrzymanie na dotychczasowym poziomie swych obrotów handlowych z NRD, ewentualnie na ich niewielki spadek — pisze na zakończenie boński biuletyn informacyjny. (x)

Generalom

nie wystarcza

Minister Finansów Stoltenberg przedłożył projekt budżetu RFN na rok 1987, który przewiduje wydatki rzędu 271 mld marek. Przedkładając swe propozycje Minister podkreślił, że na cele militarne przeznaczono około 20 proc. budżetu. Komentarze prasowe jednak wy-

kazują, iż jest to tylko część prawdy, wydatki na cele wojskowe stanowią bowiem największą pozycję budżetu RFN w roku przyszłym. Formalnie budżet przewiduje na wydatki resortu obrony kwotę 51,3 mld. marek (wzrost o 1,4 mld marek w stosunku do wydatków tegorocznych). Stoltenberg jednak przemilczał, że wydatki militarne i na cele wojskowe ujęte są w budżetach innych resortów i to na łączną kwotę ponad 28 mld marek, czyli ponad połowę kwot przeznaczonych pierwotnie w budżecie resortu obrony. Są to sumy na rozwój technologii zbrojeniowej, na utrzymanie wojsk NATO, na federalną straż graniczną, utrzymanie poligonów itd. Łącznie więc wydatki militarne na rok 1987 wyniosą prawie 80 mld marek i poważnie zwiększą lukę budżetu federalnego. Na zakup samolotów Tornado przeznaczone jest 2 mld marek, setki milionów na nowe czołgi oraz dwie nowe fregaty rakietowe. Zakup nowych rodzajów broni oraz ich badanie i wypróbowanie ma kosztować 2,8 mld. Przewiduje się też zwiększenie liczby nadterminowych podoficerów i żołnierzy do 266 tys. osób w ramach dążeń do przekształcenia Bundeswehry coraz bardziej w armię zawodową. Rozbudowa poligonów dla rezerwistów pozwoli w latach dziewięćdziesiątych na przeszko nie co roku 400 tys. rezerwistów. Mimo coraz widocznego niżu demograficznego, Bundeswehra może w wypadku potrzeby w ciągu 72 godzin zmobilizować 1.400 tys. rezerwistów. Wszystkie te dane wyłożyły się w czasie dyskusji prasowej nad przyszłym budżetem, w której generalicja zachodniemiecka wyrażała swe niezadowolenie, gdyż jej żądania były znacznie większe, jednak minister obrony Woerner nie potrafił obronić ich przed ołówkiem resortu finansów. (Tema)

Za poroże 15.000 marek

Miłośnicy przyrody i służba leśna w RFN biją na alarm. Ostatnio rozwinęło się tam klusownictwo na niespotykaną do tej pory skalę. Złoczyńcy „polują” przy pomocy najbardziej wymyślnych metod korzystając z takich zdobyczy techniki jak noktowizory, promienie podczerwone, silne reflektory, karabiny z tłumikami a nawet ze strzelbą wyglądającą na pierwszy rzut oka tak jak zwykła laska spacerowa.

Niektórym klusownikom wcale nie zależy na mieście zabitych zwierząt. Chodzi im bowiem wyłącznie o trofea myśliwskie, które są bardzo modną ozdobą po koi myśliwskich. Od amatora można za trofea wycisnąć znaczne sumy.

W wiekach średnich, a również i później, klusownikowi zależało prawie jedynie na zdobyciu pożywienia. Mimo to bywał według ówczesnych surowych obyczajów okrutnie kaleczony, oślepiany. Niekiedy obcinano im ręce lub łamano kości. Zdarzało się nawet, że po zdarciu odzieży obwiszono ich kawałkami świeżego mięsa i wystawiano na pastwę specjalnie wyćwiczonego sokoła...

Zdaniem myśliwych i miłośników przyrody stosowane dziś w RFN kary za klusownictwo są zbyt niskie a metody zwalczania tej plagi mało skuteczne. I temu przypisują szerzący się proceder. Polega on np. na tym, że wandal obcina zabitym kózom tę część sierści, z której wyrasta bródka. Resztę pozostawia w lesie i szybko ucieka. Bródka należy do poszukiwanych na rynku ozdób, za którą można zainkasować ok. 2000 marek. Jeleniom odrabiają klusownicy poroża. Można za nie otrzymać nawet 15 000 marek. Przy tym układzie cen grozi im niebezpieczeństwo, że w przyszłości nie będą mogli kupić pożywienia w RFN tak chętnie kupuje odstrzały w naszych lasach.

Klusownik w pośpiechu pakuje poroże do bagażnika i już go nie ma. Niektórzy złodzieje leśni są tak przewidujący, że na wyprawę samochodową do lasu zabierają ze sobą towarzyszkę podróży. Gdy w pobliżu ukazują się strażnicy, parka zaczyna się tak zachowywać, że co skromniejsi odwracają głowę...

Ostatnio z łałem stwierdzono, że w lasach w pobliżu Hamburga zabity został „Gigant” — wspaniały młody jeleni szlachetny będący dumą całej okolicy. Miał dopiero 8 lat, ale jego poroże liczące 26 wyrostków ważyło 13 kg. Nieco wcześniej międzynarodowa komisja przyznała „Gigantowi” wspaniałą wysoką ocenę (257 punktów). Klusownik do zastrzelenia zwierzęcia został skazany. Pozostawił więc zdobycz w lesie. Poroże zdobył obecnie ścigany największego niemieckiego w zarządzie lasów m. Hamburga Ale „Gigant” — wręczając opiekunowie lasu — mógł sobie jeszcze pozyczyć kilka ładnych lat. (Alfa)

PRZEMYSŁ, nie tylko lekki, jest pompą wysysającą ludzi z okolicznych miejscowości. Liczy się każda para rąk, szczególnie, gdy są one sprawne i młode. Gdyby nie deficyt mieszkań, na które czeka się około czternastu lat, proces wyludniania wsi byłby jeszcze bardziej namacalny, zaś imperatyw zmian strukturalnych w rolnictwie miałby widoczne gołym okiem skutki.

W Żarach pracuje około 15 tysięcy osób. Każde z istniejących przedsiębiorstw przemysłowych poszukuje rąk do pracy. Na załatwienie 700 osób, sam „Spomasz” z nożem na gardle, potrzebuje 300 osób, bowiem musi spłacić wzrostem produkcji zaciągnięty kredyt inwestycyjny. A jeśli znajdzie się cement nastąpi otwarcie i rozruch fabryki płyt wiórowych, inwestycji realizowanej dłużej od kolosa huty „Katowice”. Dyrektorzy istniejących przedsiębiorstw, zwłaszcza pracownicy działów kadr modlą się, aby cementu nie było a uruchomienie fabryki płyt wiórowych nastąpiło jak najpóźniej. Groźba perturbacji na rynku pracy byłaby w ten sposób odsunięta na okres późniejszy. Jednak poszukiwanie ludzi do pracy przestaje być tematem wystąpień publicznych, ponieważ mowa jako taka, nie może zmienić stanu rzeczy.

Po Zielonej Górze, Nowej Soli, Żary są trzecim pod względem wielkości miastem województwa. Mają czterdzieści tysięcy mieszkańców, kiedyś miały 24 tysiące. Wieleletnie zaniedbania w rozwijaniu infrastruktury miejskiej, przedsięwzięcia kosztowne i nieszybko rentujące, spowodowały, że alarm w sprawie miasta rozlegał się wielokrotnie. Powiadano nawet, że miasto zaczyna się rozsypanywać, poczynając od fundamentów. Wymiany wymaga sieć energetyczna, gazowa, wodociągowa, kanalizacyjna, telekomunikacyjna. Wymienić wszystko na czym miasto stoi byłoby w skali kraju operacją bezprecedensową, doświadczeniem na które nas nie stać. Budowa nowoczesnej centrali telefonicznej spowoduje rozkopanie miasta, protesty kierowców, którzy już dzisiaj mają kłopoty z prowadzeniem samochodu na ulicach codziennie zaskakujących nowymi niespodziankami. Uruchomienie oczyszczalni ścieków, też niezbędne, zmusi do rozkopania sieci kanalizacyjnej. Działające kłopoty z zaopatrzeniem miasta w wodę — niektóre części miasta są jej pozbawione przez znaczną część doby — też są zapowiedzią robót ziemnych.

Rozsypywanie się miasta, niewidoczne pod fundamentami, ma jednak również odniesienia na powierzchnię. Ciągi kamienia w samym centrum, rozchodzące się, ruchliwe, nagle przerwane zostają budynkiem pustym, pozbawionym szyb okiennych, z rozpadającym się dachem. Budynek taki jest właśnie remontowany, albo na remont czeka Rusztowania, dyndające na linkach wiadra, kilku niemrawych mężczyzn w kombinezonach, są odpowiedzią na pytanie, czy coś robi.

— Obecnie pieniądze mamy. Gorzej z ich wykorzystaniem. Brak jest mocy przerobowych a również i materiałów budowlanych — cementu, wapna, lepiku, cegły, dachówek.

Żary — jest to informacja zaskakująca — posiadają wiele zabytków, dużo pięknej secesji, baroku, renesansu. Czternastowieczny zamek, kościół św. Piotra i Pawła, ze względu na jego stan został przeznaczony do rozbioru. Badania specjalistów z Politechniki Śląskiej pozwoliły ujawnić jego wartości architektoniczne. Upór kilku ludzi, często wbrew woli opinii, pozwolił kościół odbudować, ocalić przed zagładą. Ale dylemat: rozbierać, stawiać nowe, czy też remontować, istnieje właściwie na codzień. Remont polegający na tym, że zostawia się starą elewację, mur ściany głównej a za nim wszystko nowe, jest bardzo kosztowny, droższy od stawiania standardowych bloków, pozwala jednak ocalić charakter miasta. W sensie społecznym jest to wysoce opłacalne.

Rehabilitacja obiektów małych, kamieniczek, ma społeczną aprobatę. Inaczej z obiektami dużymi. W samym centrum miasta stoi zabytkowy kompleks dwóch kamienic, fragment muru miejskiego, olbrzymi zamek i pałac. Część dachów została zniszczona w czasie działań wojennych i na nowo przykryta. Ten kompleks zabytkowy w samym centrum budzi nieuchronnie i nietaktowne pytanie — kiedy zakończyła się wojna? Tym większe zdumienie budzi fakt, że w części obiektu jeszcze w latach powojennych funkcjonowało starostwo. Wystarczyli dwa lata bezpieczeństwa, aby pałac został zdezastrowany. Ktoś potrzebował ramy okiennej, inny drzwi jeszcze inny kaba, rury. Dziś nie ma odważnych, którzy wymieniliby wysokość całej kwoty potrzebnej na odbudowę zamku i pałacu. Jest to przecież ponad 60 tysięcy metrów sześciennych. Suma 200 milionów złotych na remont zamku, którą się wyda do 1990 roku, zważywszy na rozmiar koniecznych prac, cenę robocizny w pracowniach konserwacji zabytków, wydaje się być niesłychanie skromna. W fosie kopie ekipa archeologiczna. Robotnicy zakładają przewody kanalizacyjne. W niektórych salach ratują sztukaterie zielonogórscy artyści. Wszyscy przy obecnym tempie robót mają zapewniony chleb do roku dwutysięcznego i dalej. Z 200 milionów wydano już czterdzieści a obiekt wygląda tak, jakby nie zrobiono nic. Nie chce się wierzyć, że za cztery lata będą wy 2 ze a ezy la

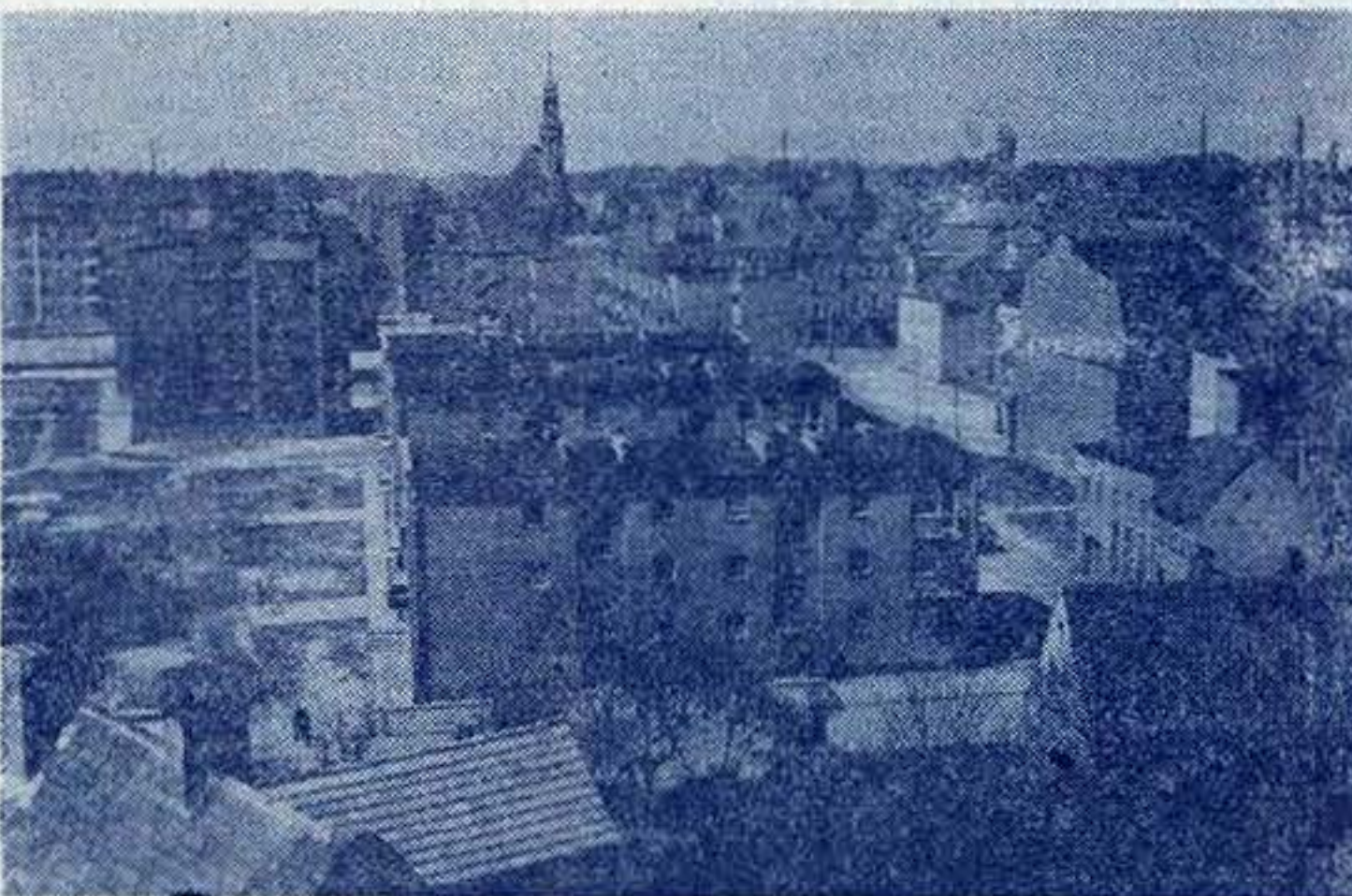
dą tu kawiarnia i winiarnia, pałac szlubiów, pomieszczenia wystawowe.

W dużych pomieszczeniach głównymi lokatorami są nietoperze. W malutkim fragmencie zamku, kilku pomieszczeniach, w których wszakże ćwiczyć można latanie na lotni, wraz z rodziną mieszka artysta-plastyk z Zielonej Góry — Eugeniusz Krawcewicz. Ma rozwiązany problem pracowni. W zamian za to, jako jedyny lokator pełni obowiązki stróża obiektu. W celu właściwego spełniania tego obowiązku wyposażył się w sekaję kij i psa, który głośno szczeka. Zimą spala w piecu centralnego ogrzewania dwie taczki

przedwczoraj na wczoraj. Brak nam siły na dziś. Na jutro zupełnie już brakuje energii. — Tak powiada obywatel oceniający swoje samopoczucie w Żarach. — Świat idzie do przodu. Zdyszani do utraty tchu, stwierdzamy, że stoimy w miejscu, albo, że nawet się cofamy.

Żary potrzebują cegły i dachówek. W pobliżu jest całe zagłębie materiałów budowlanych. Niewiele jednak z tego wynika. Producent gotów jest dostarczyć dachówek. Pod jednym warun-

Start w turnieju miast?



Żary — widok ogólny

Fot. Archiwum

koku na dobę i osiąga maksymalną temperaturę plus piętnaście stopni. Eugeniusz Krawcewicz chętnie przyłączyłby się do ekipy remontującej sztu katerię czy też zabytkowe malarstwo. Robót jest tyle, że miałby również zajęcie do 2100 roku. Skoro pieniędzy nie ma pan Eugeniusz, jak inni artyści, gotów jest pracować na kredyt. Eugeniusz Krawcewicz jest artystą nieśmiałym. Powiada on: może i bym z malarstwa wyżył, tylko muszę kupić nowy piec centralnego ogrzewania. Myślę, że za moje srożowanie pozwolą mieszkać, a jak się skończy remont, gdy będę niepotrzebny i stary, dadzą jakiś chlewik abym mógł umrzeć! Eugeniusz Krawcewicz spłaca pożyczki obrazami. Teraz maluje konia na zamówienie. Koń zostanie zamieniony na lekarstwo w Republice Federalnej...

- Jak żyje artysta Krawcewicz?
- Bardzo fajny człowiek, poezyciwy.
- Pracuje? zarabia?
- Roboty ma od groma!
- A drugi artysta, grafik Antosz?
- Ma mieszkanie. Jest potrzebny w mieście.
- Ma zajęcie?
- O tak.

Antosz poszukuje chleba w kościołach.

Żary są miastem o dużej tradycji handlowej. Gdyby nie braki towarów, takie jak wszędzie w kraju, można by powiedzieć, że tradycja ma kontynuację. Aktywność handlowców powoduje, że niejedną listą zostaje zakryty. Tylko tutaj nie zapomniano napisać kredą na czarnej tablicy: dziś golonka, karkówka... W Żarach jest najwięcej sklepów firmowych. Od Uniry po Radoskór. Sklepy są małe, kameralne i gdyby je właściwie urządzić, mogłyby tworzyć klimat miasta. Tworzą ruch, klimat — nie. Potworny ciąg butików od strony zabytkowego muru sprawia wrażenie niespotykanej ilości szaleństw. Różne w ich cieniu nie chcą rosnąć. Dobrze, że w mieście, chyba jako jedynym w Polsce, można nabyć saby do dowolnego typu samochodu, niedobre, że w handlu nie angażuje się architektów wnętrz, plastyków. Przecież ich działalność nie wymaga wielkich środków inwestycyjnych. A służyłaby temu co nazywa się poprawą jakości życia.

— W moim przekonaniu, najgorsze jest to, że biurokracizm w istocie rzeczy pozbawia działalność jakiegokolwiek perspektywy. Skazani na latanie dziur, skaczemy z dziury do dziury. Jedna zostaje zasypana, powstaje następna. I nic nie idzie do przodu. Pracujemy z

kiem — będzie otrzymywał rocznie milion złotych na swój rozwój i modernizację. Marek Pekiel, syn znanego działacza społecznego, prowadził warsztat naprawy samochodów. Zdobył jako naprawiacz samochodów dobrą opinię u klientów. Doszedł do wniosku, że interes nie jest perspektywiczny. Postanowił zająć się produkcją szkła. Jest obecnie właścicielem huty. Produkuje szkło użytkowe wykażane przez innych rzemieślników. Już opanował technologię barwienia szkła, a w kacie siedzi robotnik, który zajmuje się próbami szlifowania. I oto powstaje pytanie: dlaczego Marek Pekiel potrafi? I dlaczego państwowy zakład przemysłowy potrzebuje milionowej dotacji o to, by dostarczyć dachówkę, wytworzenie której jest sensem jego istnienia?

Nie rozpieszczane do niedawna Żary, mimo kryzysu, potrafiły ocalić swoją działalność kulturalną. Nie podupadło Żarskie Towarzystwo Miłośników Kultury. Działalo ono nadal. Ludzie nadal widzą sens jego istnienia. Bardzo dobrze, na miarę posiadanej bazy działają domy kultury, zwłaszcza młodzieżowy. Domy kultury mogłyby podzielić się swoimi zespołami z innymi miastami. Budynek zajmowany przez szkołę podstawową, po zakończeniu remontu, przeznaczony zostanie na szkołę muzyczną. Będzie w tej szkole amfiteatrna sala koncertowa dla 200 słuchaczy. Są więc dowody na to, że jeśli się czegoś pragnie, to cel ten można osiągnąć.

W 1981 roku, owej dramatycznej jesieni strajkowej, rzucał się w oczy autobus z żarskiej „Dekory”, pełen ładnych dziewczyn w furaczkach z białoczerwonym znacznikiem. Podobne opaski nosiły na rękawie, zaś na ramieniu gustowne chlebaczki. Nie wiem o w chlebaczki miały. Brakowało mi na torbach znaczka czerwonego krzyża. Domyślić by się można było, że są tam bandaże, plastry i jodyna, rzeczy niezbędne przy pielęgnacji ran męskich, otrzymanych na barykadzie. Dziewczyny chciały się przedstawić jako osoby z całkiem innej epoki.

W 1986 roku latem ojciec Zar marzy o tym, aby w przyszłym roku miasto jego wystartowało w turnieju miast. Nie idzie mu o zwycięstwo. Uczestnictwo w turnieju jest jego zdaniem technicznym sposobem wywołania w społeczeństwie ducha inicjatywy, pobudzenia czynów społecznych stymulowanych patriotyzmem lokalnym. Uporządkowano by kilka placów, skwerów, zniknęłyby placie brudu.

W 1986 roku barykadą może więc być telewizja.

RYSZARD ROWIŃSKI

Aby wygasić łuny w Bieszczadach

Jan Golec

Po zakończeniu II wojny światowej nastąpiła szczególna aktywność ukraińskich grup nacjonalistycznych spod znaku OUN-UPA. Polityczna dezorientacja ludności ukraińskiej, słaba praca polityczna tworzącej się dopiero władzy ludowej stały się przyczyną, że niektórzy Ukraińcy ulegli terrorowi band UPA, wspomagając je materiałnie i udzielając schronienia. Największą aktywność UPA zanotowano w 1946 r. Morderstwa, grabieże, gwałty popełniane na ludności polskiej, uniemożliwiały normalne życie na południowo-wschodnich obszarach Polski.

Bezpośrednią przyczyną przyspieszającą decyzję o przesiedleniu ludności ukraińskiej na ziemie zachodnie i północne Polski było zamordowanie przez UPA 28 marca 1947 r. wiceministra Obrony Narodowej, gen. broni Karola Świerczewskiego. W tej sytuacji władze polskie nie chcąc dopuścić do jeszcze większych strat materialnych i dalszego rozlewu krwi, podjęły trudną, bolesną, ale konieczną decyzję przesiedlenia Ukraińców do różnych rejonów ziem odzyskanych. Na podstawie zarządzenia Państwowego Komitetu Bezpieczeństwa z dnia 17 kwietnia 1947 r. postanowiono przeprowadzić na południowo-wschodnich terenach operację pod kryptonimem „Wisła”, której celem było ostateczne zlikwidowanie band UPA oraz przesiedlenie ludności ukraińskiej.

Przebieg akcji przesiedleńczej podlegał ścisłej tajemnicy. Transporty odbywały się pociągami składającymi się z 55 wagonów. Przesiedleni zabierali ze sobą inwentarz żywy i martwy, a mie-

nie nieruchomości podlegało spisowi. W punktach PUR-u wystawiano zaświadczenia przesiedleńcze. Typowaniem osób podlegających przesiedleniu zajmował się aparat bezpieczeństwa, konwojowanie transportów należało do wojska i milicji. Dowódca konwoju otrzymywał dwie zaadresowane koperty, z których jedna zaadresowana była do punktu kierunkowego, a druga do punktu rozdzielczego. Rodziny o negatywnej opinii, a więc podejrzane o współpracę z UPA, osiedlano pojedynczo, pozostałe mogły być rozmieszczane w większych grupach. Nie należało tworzyć skupisk ukraińskich przekraczających 10 proc. ogółu ludności zamieszkałej na danym terenie, nie można też było osiedlać tej ludności w paśmie nadgranicznym — morskim i lądowym. Ukraińcy posiadający kolorowe karty przesiedleńcze po przybyciu do punktu docelowego musieli zgłosić się na rozmowę do PUBP.

Przesiedleńcy z akcji „W” składali się z Ukraińców, Łemków oraz ludności góralskiej, jak Bojkowie, Dolinianie i Rusini szlachetwscy.

Pierwszy etap tej akcji przeprowadzono na ogół szybko i sprawnie. Do punktów rozdzielczych transporty docierały w oznaczonym terminie. Ich rozładunek trwał przeciętnie 3-4 godziny, rozprawienie ludzi do miejsc przeznaczenia około dwóch dni, w sporadycznych wypadkach nieco dłużej. Do 27 lipca 1947 r. z rejonów południowo-wschodniej Polski odeszło 435 transportów z 137833 osobami, z tego skierowano do województwa: szczecińskiego 144 transporty — 46118 osób, gdańskie go — 13(3929), poznańskiego — 28(7343), olsztyńskiego — 165(58367), wrocławskiego — 78(20938). Na Ziemi Lubuskiej osiedlono 7521 osób (1473 rodzin), w tym w powiatach: gorzowskim — 637 (205), krosieńskim — 87 (24), międzyrzeckim — 830(165), pilskim 1172(275), skwierskim — 748(152), sulecińskim — 628(127), strzeleckim — 1595(391), skwierzyńskim — 748(152), sulecińskim — 258(44), zielonogórskim 437(103).

Andrzej Kwilecki, jeden z najwybitniejszych znawców problematyki migracji narodowościowych, podaje, że na Ziemiach Zachodnich osiedliło się blisko 150 tys. Ukraińców. Wynikało to stąd, że w ślad za przesiedlonymi rodzinami podążali ich członkowie, aby się z nimi połączyć.

Z województw rzeszowskiego i krakowskiego kierowano ludność ukraińską do Szczecinka, stąd do województw szczecińskiego, wrocławskiego i na Ziemi Lubuskiej. Z województwa Lubelskiego transporty wysyłały do Olsztyna, a następnie do województw północnych. Ukraińcy z Lubelszczyzny byli „bogatsi” od swych pobratymców z rzeszowskiego, każda rodzina miała przynajmniej jednego konia i dwie krowy. W trakcie przejazdu transportem kolejowym na Ziemi Zachodniej zdarzały się zgony osób chorych w podszyciu wagonów. Padnięcia zwierząt gospodarskich, a także zatrzymywanie osób podejrzanych o działalność w OUN-UPA.

W sprawozdaniu wojewody wrocławskiego znajdujemy taką oto charakterystykę przesiedleńców z akcji „W”. „Przejeżdżni są bardzo zawzięci, tak że trzeba było zmobilizować kolumnę dezynfekcyjną. Według oświadczenia do-

wódcy konwoju w czasie drogi zachowywali się nienagannie. Nie bardzo wierzyli, że jadą na Ziemię Odzyskaną, przypuszczali raczej, że na „Syberię”.

Transporty nadchodziły tak nagle, że o planowym rozmieszczeniu ludności ukraińskiej nie mogło być mowy, tym bardziej że instrukcje w tej sprawie nadchodziły ze znacznym opóźnieniem. Zarządzenie ministra Ziemi Odzyskanych, Władysława Gomułki — wojewoda szczeciński otrzymał 24 kwietnia 1947 r., a pierwsze transporty nadeszły już w trzy dni później. Podobnie przedstawiła się sprawa z instrukcją MBP zabraniającą osiedlać ludność ukraińską w pasie przygranicznym. W powiecie wegorzewskim (woj. olsztyński) Ukraińcy stanowili 48 proc. ludności zamieszkałej na tym terenie, a instrukcja MBP zezwalała tylko na 10 proc. Dodać do tego należało 1100 Niemców. Taka struktura narodowościowa utrudniała znacznie adaptację. Również na Pomorzu Zachodnim w niektórych miejscowościach ludność ukraińska stanowiła 20-30 proc. ogółu mieszkańców. Ukraińców osiedlano tam, gdzie byli odpowiedzialni ku temu warunki. Jeśliby chcieli konsekwentnie przestrzegać zarządzeń władz centralnych, to należałoby około 60 proc. Ukraińców ponownie przesiedlić. W sporadycznych wypadkach na skutek interwencji miejscowego aparatu bezpieczeństwa zdarzały się także i takie przypadki. Np. w powiecie drawskim, woj. szczeciński, Ukraińcy zdołali już zagospodarować się na nowym miejscu, zasiedlili nawet ziemniaki, lecz wkrótce przesiedlono 34 rodziny do

innej wsi, gdzie zresztą nie było wolnych gospodarstw. Brak chłonności osadniczej, zniszczone zabudowania mieszkalne i inwentarskie utrudniały przebieg akcji przesiedleńczej.

O ile w pierwszej fazie akcji przesiedleńczej z udziałem wojska i milicji, nie napotymano poważniejszych problemów organizacyjnych, to w drugim, gdy zaszła potrzeba koordynacji działań z władzami cywilnymi, zaczęły się trudności. Największe występowały w zakresie braku środków transportu.

Zgodnie z dekretem z 6 czerwca 1946 r. o ustroju rolnym i osadnictwie na obszarze Ziemi Odzyskanych i byłego Wolnego Miasta Gdańska, przesiedleńcy za miejsce nieruchomości pozostawione na starym miejscu zamieszkania otrzymywali rekompensatę w wymiarze 7-15 ha, w wyjątkowych przypadkach można było przydzielić gospodarstwo do 20 ha. Zdarzało się dość często, że ludność ta zajmowała gospodarstwa znacznie, gdyż lepsze już wcześniej zostały rozdzielone. Większość otrzymała gospodarstwa rolne, pozostali zmuszeni zostali podjąć pracę w majątkach państwowych w charakterze robotników itp. Najtrudniejszą sytuacją pod tym względem występowała w województwie gdańskim, gdzie chłonność osadniczą szacowano na 600 rodzin, a skierowano tam dwa razy tyle. Niemal wszystkie budynki wymagały remontu, brakowało drzwi, okien, kuchni. Znacznie lepiej przedstawiała się sytuacja na Warmii i Mazurach.

Zdarzały się nierzadkie przypadki odmowy przyjęcia gospodarstwa na Ziemiach Zachodnich. Wyrażoną przeszkodą do wzięcia się z tymi ziemiami na stałe była nadzieja na rychły powrót do dawnego miejsca zamieszkania. Wśród ludności osiedlonej na Pomorzu Zachodnim kolportowano plotkę, że Ukraińcy powrócą do swych dawnych siedzib. Niektórzy liczyli na wybuch trzeciej wojny światowej.

W początkowym okresie pobytu na Ziemiach Zachodnich i Północnych ludność ukraińska cechowała apatia, brak chęci do zagospodarowania się na stałe. Przez pierwsze tygodnie pobytu rodziny ukraińskie grupowały się razem, wysiadując ciałami dłońmi przed domostwami. Żywność się zapasami przywiezionymi ze sobą. Ta bezczynność Ukraińców denerwowała miejscową ludność, osadników z Polski centralnej. Wyrażało się to w stwierdzeniu — skończ się im zapasy, to podejmą pracę. Wiele osób zwracało się do władz z prośbą o umożliwienie im powrotu w rodzinne strony, względnie na wyjazd w celu przywiezienia pozostawionego inwentarza, zboża itp. Prośby załatwiano odmownie. Zdarzały się od tego jednak odstępstwa. Starosta z Górowa Iławskiego, woj. olsztyński wystawił takie przepustki osobom, które „rzekomo” łzami prosiły go o to. Przepustki zostały skonfiskowane przez organa bezpieczeństwa i milicji.

Pierwsze zetknięcie Ukraińców z ludnością zamieszkałą na ziemiach nadodrzańskich i nadbałtyckich musiało prowadzić do szeregu animozji i kon-

Ciąg dalszy na str. 4

Aby wygasić luny w Bieszczadach

Ciąg dalszy ze str. 3

fliktów. Wynikało to z różnic etnicznych, kulturowych, będących następstwem odmienności w zachowaniu się, zwyczajach, obyczajach, różnych typach myślenia. Inne istotne przyczyny wynikały z nie zażyciem ran spowodowanych okrucieństwem wojny, brakiem stabilizacji politycznej w kraju i skomplikowaną sytuacją międzynarodową. Zaangażowanie polityczne Ukraińców po stronie władzy ludowej było w tym czasie niewielkie. W społeczeństwie polskim funkcjonował wówczas stereotyp myślowy, wedle którego Ukraińcy byli synonimem „bänderowca”, czworaka mściwego. Wśród ludności Pomorza Zachodniego fakt osiedlenia tutaj ludności ukraińskiej wywołał falę krytycznych komentarzy. We Wrzeszowie, koło Kolobrzegu, ludność miejscowa nie chciała się zgodzić na przyjęcie nawet kilku rodzin ukraińskich.

W drugiej połowie 1947 r. na Ziemiach Zachodnich dało znać o sobie nacjonalistyczne podziemie ukraińskie. Niedobitki UPA z południowo-wschodnich rejonów Polski podążały tutaj za swoimi rodzinami. W sierpniu 1947 r. w Jeleniej Górze wykryto melinę i punkt kontaktowy ukrywających się członków OUN-UPA. Największym sukcesem było zatrzymanie w Lubinie do wody UPA Mirosława Onyszkiewicza ps. „Orest”. W okresie trzech pierwszych kwartałów 1948 r. na Ziemiach Zachodnich w starciach zbrojnych z grupami operacyjnymi wojska i milicji zginęło 9 członków UPA, a aparat bezpieczeństwa zatrzymał 252 członków

OUN-UPA. Działalność UPA miała charakter terrorystyczny - rabunkowy. Ofiarami napadów byli osadnicy, repatrianci z Buga, autochtoni i milicjanci, którzy stawali w ich obronie.

Na wiosnę 1948 r. ogromna większość przesiedleńców ukraińskich przystąpiła do zaślów, wyrażała zadowolenie, że wreszcie będzie mogła spokojnie pracować. Nie brakowało też malkontentów, „wiecznie” niezadowolonych, którzy chcieliby wędrować i szukać sobie lepszego miejsca. Stąd też zdarzały się „ucieczki” z Ziemi Odzyskanych. Rolnicy ukraińscy na równi z pozostałą ludnością zamieszkałą na ziemiach nadodrzańskich i nadbałtyckich korzystali z pomocy państwa w postaci pożyczek, ziarna siewnego, koni itp.

Władze centralne i wojewódzkie zainteresowane były stworzeniem przychylnej atmosfery dla osiedlających się Ukraińców. Wojewoda olsztyński wystąpił do ministra ZO o wyasygnowanie 278 mln zł na remont zniszczonych gospodarstw. Rodziny osiedlane na Warmii i Mazurach otrzymywały kartki żywnościowe na zakup 2 kg maki, 10 kg kukurydzy, 2 kg kaszy, 45 kg cukru. Była to norma miesięczna na jedną osobę. Ponadto wśród ludności ukraińskiej rozdzielono 35 wagonów ziemniaków.

Czy tylko rodziny ukraińskie wysiedlano w ramach akcji „W”? Otóż nie. Np. do punktu rozdzielczego w Olsztynie zgłosiło się wielu przesiedleńców, którzy przedstawili dokumenty zawierające ich przynależność do PPR, jak również zaświadczenia wydane przez terenowe jednostki UBP i WOP o ich lojalności wobec władz polskich, niektórzy z nich posiadali odznaczenia państwowe nadane przez władze Polski Ludowej. Zdarzały się dramatyczne pomyłki, których nie sposób było uniknąć w nawałe pracy i pośpiechu towarzyszącym całej akcji „W”.

Wysiedlanie ludności ukraińskiej, która wykazała lojalność wobec władzy ludowej, zalecano przeprowadzić w sposób szczególnie taktowny, czyniąc jej wszelkie ułatwienia przy zabraniu inwentarza żywego i przedmiotów codziennego użytku. Przesiedlenie mogło nastąpić po dokonanych zbiorach w terminie między 15 a 31 września 1947 r., w szczególnych przypadkach można było przedłużyć do połowy października 1947 r.

Zdecydowana większość ludności ukraińskiej przesiedlona w ramach akcji „W” po dziś dzień zamieszkuje na ziemiach nadodrzańskich i nadbałtyckich. Część wiedząca nostalgia powróciła później do swoich rodzinnych stron. Jedni i drudzy budują socjalistyczną Polskę. Państwo nasze stworzyło sprzyjające warunki do swobodnego rozwoju ich kultury. Obecnie w różnych regionach Polski żyje od 250 do 350 tys. Ukraińców. Na pograniczu dzisiejszych województw koszalińskiego i słupskiego znajduje się dwutysięczne miasteczko Białe Bory, zwane „stolicą ukraińską w Polsce”. Działają tutaj: szkoła podstawowa z ukraińskim językiem nauczania, parafia grecko-katolicka i Ukraiński Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne. Aktualnie na terenie Polski — USSK istnieje w 27 województwach. Organ prasowy Stowarzyszenia „Nasze Słowo” wychodzi w nakładzie 12 tys. egzemplarzy. W niektórych miejscowościach np. w Legnicy i Gorzowie Śląskim są klasy z ukraińskim językiem nauczania. Istnieją ukraińskie zespoły folklorystyczne, kluby. Niektórzy z dawnych przesiedleńców zajmują dziś eksponowane stanowiska w administracji, rolnictwie i przemyśle.

DO WYBORÓW FEDERALNYCH w RFN pozostało wprowadzić jeszcze z górą sześć miesięcy, ale wyraźnie narasta już tam atmosfera walki o mandaty w Bundestagu. Sprzyja temu międzypartyjne potyczki na szczeblu wyborów krajowych. W bieżącym roku poza czerwcową rozgrywką w Dolnej Saksonii odbędą się jeszcze elekcje w Bawarii i w Hamburgu. Wybory te, choć ich wyników nie można mechanicznie traktować jako prognozy rezultatów wyborów do Bundestagu, mają duże znaczenie dla poszczególnych ugrupowań jako sygnał zmian zachodzących w nastrojach społecznych i skuteczności własnych zabiegów.

Szczególną wagę mają te wybory dla CDU, która poprzedniego roku z tego punktu widzenia nie może uznać za udaną. Dotkliwie klęski w Saarze i Północnej Nadrenii Westfalii w żadnym razie nie zostały zrekompensowane sukcesem w Berlinie Zachodnim. Szczególnie bolesny był cios zadany chadekom przez SPD w Nadrenii. W tym sercu przemysłowym RFN stracili oni 1,6 mln głosów, co nie mogło być dobrym prognostykiem. Okazało się, że proklamowana przez bońską koalicję polityka „zwrotu” (Wendepolitik) napotkała poważny opór społeczny, a kolejne afery i skandale polityczne mocno podważały zaufanie do chadeko-liberalnej ekipy rządowej.

Ale w końcu ubiegłego roku ten niekorzystny klimat jakby zaczął się zmieniać. Stosunkowo szybko minęła „bitursko-hanowerska” fala oburzenia, a wyniki śledztwa w aferze Flicka podniecały wprowadzić społeczeństwo, ale nie wpływały na kształtowanie się trwałych postaw. Spora część społeczeństwa RFN żywo protestowała przeciw włączeniu się RFN do amerykańskiego programu SDI i manifestowała swe poparcie dla postulatów pokojowych i odprężeniowych, ale równocześnie z wielu badań ankietowych wynikała wniosek, iż nie oznaczało to generalnego potępienia polityki rządu, szczególnie w kwestii wewnętrznych. Raz jeszcze potwierdziła się teza, iż z takiego lub innego stosunku obywatela RFN do polityki zagranicznej nie można zbyt łatwo wyciągać wniosków o jego zachowaniu wyborczym. Wydarzenia 1969 r., kiedy to właśnie kwestie polityki zagranicznej zdominowały walkę wyborczą, były mimo wszystko zjawiskiem raczej wyjątkowym. Dla społeczeństwa RFN znacznie ważniejsze obecnie są problemy społeczno-ekonomiczne. A w tym zakresie sytuacja zdaje się coraz bardziej sprzyjać rządzącej koalicji. Chadezy wręcz proklamowali rok 1985 jako rok sukcesu gospodarczego, będącego prostym wynikiem ich polityki „gospodarki rynkowej” i modernizacji gospodarki. Istotnie, dane ilustrujące rozwój ekonomiczny RFN za rok 1985 są mocnym argumentem w rękach rządu.

Wyraźnie ożywiła się koniunktura, zanotowano nie tylko wzrost produkcji i inwestycji, ale także rozszerzenie się rynku wewnętrznego i wzrost zdolności eksportowych. Wzrost dochodów społecznych, a budżet zanotował rekordowo dodatnie saldo. W wyniku licznych posunięć inflacja została zduszona do minimalnej wielkości 2 proc. Przeciwny Niemiec musiał to odczuć bezpośrednio, z tym większą wiarą odnosi się do optymistycznych zapowiedzi rządu, iż to co stało się w minionym roku będzie trwała tendencja, że RFN po latach kryzysu i niepewności znów jest krajem obfitości i stabilnego bezpieczeństwa. Na tym tle do wielu ludzi trafia twierdzenie, iż nawet gdybyś węzeł bezrobocia uda się już wkrótce rozwiązać, byle tylko wspierać rządowe plany dalszego pobudzenia koniunktury. Niewielkie wrażenie robią natomiast wskazania opozycji na fakty, że posunięcia modernizacyjne i nowe inwestycje

autochtonicznych mają tradycję dłuższą. Jeżeli chodzi o szkoły wyższe, to w czasach niemieckich były na tym obszarze tylko 3 pełne szkoły akademickie (Uniwersytet we Wrocławiu i politechniki w Gdańsku i Wrocławiu) oraz 6 niepełnych wyższych szkół pedagogicznych (Bytom, Gdańsk, Elbląg, Jelenia Góra, Leśnica, Piła). Dziś mamy 3 uniwersytety, 3 politechniki i 3 wyższe szkoły inżynierskie, 4 wyższe szkoły pedagogiczne, akademie medyczne, rolnicze, ekonomiczne, wychowania fizycznego, plastyczne, muzyczne i morskie. Łącznie w 12 ośrodkach akademickich kształci się ponad 100 tysięcy studentów. Ewentualnie jest Szczecin, gdzie w czasach niemieckich nie było żadnej wyższej uczelni, a dziś jest ich 5 i blisko 15 tysięcy studentów.

Uczelnie powstawały w trudnych warunkach kadrowych i materialnych. Np. WSI w Zielonej Górze utworzono w 1965 roku zatrudniając jednego docenta na pół etatu i jednego tylko doktora a WSP w tym samym mieście miała w chwili powstania tylko jednego docenta z habilitacją. Dziś obie uczelnie zatrudniają łącznie około 70 samodzielnych pracowników nauki, w tym 15 profesorów. Wykształcili one już blisko 15 tysięcy inżynierów i nauczycieli.

Tak jak nowa jest tradycja większości uczelni wyższych na Ziemiach Zachodnich, tak nowa jest tradycja szkół średnich i zawodowych, a także większości szkół podstawowych. Np. w Zielonej Górze na 60 szkół średnich i zawodowych tylko jedna mieści się w budynku poniekąd, a na 18 szkół podstawowych — dwie. Poniekąd baza materialna szkolnictwa, stanowi dziś zaledwie niewielki odsetek.

Z pionierskiej pasji nauczycieli powstawały w połowie lat 50. tawarystwa społeczno-kulturalne w Zielonej Górze, Jeleniej Górze i Olsztynie.

Przedwyborczy rok w RFN

Stanisław Ciesielski

W tym roku poprawie konkurencyjności gospodarki zachodniemieckiej na rynkach światowych nie przyniosą bynajmniej zapowiadanych przysłów nowych miejsc pracy, szczególnie, iż rząd umiejętnie szermuje prognoząmi o zmniejszaniu się w przyszłości podaży nowych rąk do pracy. Jeżeli coś budzi niepokój, to raczej zagrożenie ekologiczne. W odczuciu wielu grup społecznych utrzymujące się na poziomie 2,3 mln osób bezrobocie staje się nieuniknioną ceną dobrobytu, zagadnieniem bardziej moralnym niż społecznym. Przeważa raczej przekonanie, iż jest to problem samych bezrobotnych, niż całego społeczeństwa. Wyraźnie ogranicza to nośność argumentów SPD, która problemy bezpieczeństwa socjalnego uczyniła swym głównym orężem w walce przeciw polityce gospodarczej koalicji. Tym bardziej, że socjaldemokraci, mimo pewnych postępów w tym zakresie, nadal nie dysponują realistyczną koncepcją ograniczenia i likwidacji bezrobocia. Ich ogólny (by nie powiedzieć ogólnikowy) program modernizacji gospodarki i przystosowania jej do wymogów rynku światowego a zarazem zabezpieczenia od strony socjalnej zawiera w sobie liczne sprzeczności i po doświadczeniach drugiej połowy lat siedemdziesiątych nie jest społecznie chwytliwy.

Nowością w stanowisku SPD jest proklamowanie „ekologicznej modernizacji społeczeństwa przemysłowego”. Socjaldemokraci odstąpili od tezy, iż działania zmierzające do ochrony środowiska naturalnego pozostają w sprzeczności z tworzeniem nowych miejsc pracy uznali rozwiązanie problemów ekologicznych za jedno z zadań priorytetowych. Tym samym podjęto próbę wykorzystania społecznych obaw jako odskoczni dla wzmocnienia własnych pozycji i przejęcia wpływu ruchów „ekologicznych”, cieszących się niemałą popularnością w RFN.

Jest to zresztą poniekąd elementem szerszej strategii SPD, pragnącej skonsolidować wokół siebie wszystkie siły opozycyjne w RFN o ile nie pozostaje to w sprzeczności z własnymi zamierzeniami programowymi. Instrumentem tej strategii jest integracja postulatów ruchów pokojowych, ekologicznych, a nawet feministycznych. Ma to uczynić z socjaldemokracji hegemoną całej, szeroko rozumianej lewicy społecznej, a zarazem nadać partii pełniejszą tożsamość polityczną, jako jedynej alternatywy chadeckiej. Są to posunięcia wymierzone faktycznie nie tylko w „Zielonych”, ale i w wolnych demokratów. W tym kontekście widzieć można także hasło drugiego etapu „polityki wschodniej”. SPD opowiadając się za wstrzymaniem rozmieszczania w Europie rakiet średniego zasięgu, za intensyfikacją rokowań rozbrowojeniowych i odprężeniowych i przeciw militarystyce kosmosu faktycznie przejęła większość postulatów ruchów pokojowych i pacyfistycznych. Zarazem formułując koncepcję „partnerstwa w bezpieczeństwie” wyciszyła głoszone niegdyś nadejście na „zmiany przez zbliżenie”, czyli na dokonanie w obozie socjalistycznym

istotnych przeobrażeń w wyniku procesu odprężenia. Obecnie socjaldemokraci głoszą akceptację koegzystencji w istniejącym trwale układzie sił. Tym samym pragną zaakcentować pewne różnice dzielące ich w tym względzie od FDP. Niemniej jednak trzeba zauważyć, iż w tych właśnie kwestiach brak w szeregu SPD pełnej jednoznaczności, szczególnie, gdy przychodzi konkretyzować te koncepcje.

W sumie rzecz można, iż SPD znajduje się na pewnym rozdrożu. Znajduje to odbicie w braku jasności co do ewentualności opracowania nowego programu partii i jego treści. Istnieją w kręgach kierowniczych spory o to, czy posunięcie do sprzyjałoby uzyskaniu szerszego poparcia społecznego, czy też przeciwnie. Wydaje się, iż niekorzystnie odbija się to na bieżących notowaniach partii. Wyrazem tego może być wyraźne zmniejszenie się przewagi popularności Johannes Raua nad kanclerzem Helmutem Kohlem, bardzo dużej lat i wcześniej jesienią, minimalnej już w końcu roku 1985.

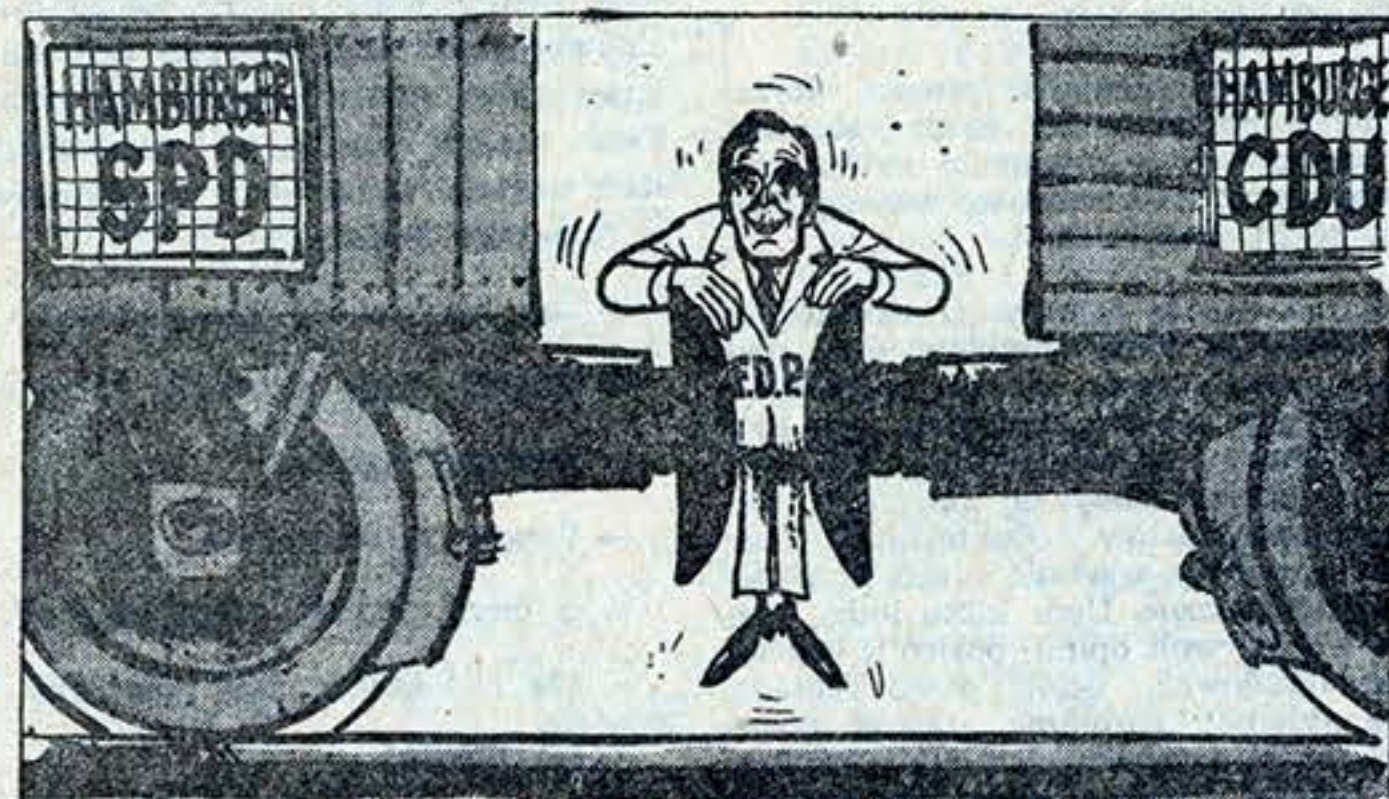
Przejawem rosnącej pewności siebie koalicji rządowej jest postawienie sprawy zmian prawa strajkowego w duchu ograniczenia prawa do strajku, co natychmiast zdecydowany opór związków zawodowych. Jak się powszechnie uważa, ta właśnie kwestia stanie się w najbliższych miesiącach osią sporów wewnętrznych w RFN, grożąc poważnymi powikłaniami politycznymi i zerwaniem ożywionego w roku 1985 dialogu na linii rząd — pracodawcy — związki zawodowe.

Rok 1985 nie dał jasnej odpowiedzi na pytanie o dalsze losy (a szczególnie o znaczenie w kombinacjach wyborczych) partii „Zielonych”. Ruch ten ciągle nie może sprecyzować swej politycznej tożsamości, co wynika z jego niejednorodności wewnętrznej i zróżnicowanej genealogii. Nadal utrzymuje się podział na fundamentalistów i realistów. Sytuację tych ostatnich z pewno-

ścią komplikuje negatywne stanowisko SPD w kwestii współpracy z „Zielonymi” w skali federalnej.

W RFN układ sił politycznych mierzony ilością głosów oddawanych na poszczególne partie w wyborach federalnych jest wbrew pozorom dość stabilny. Dwie główne siły polityczne, tj. chadecja i socjaldemokracja zwykle uzyskują odpowiednio 45—49 proc. głosów i 33—38 proc. O tym, która z nich sięgnie po władzę decydują zatem chwilowe wahania niezdecydowanej części elektoratu oraz stanowisko mniejszych partii, obecnie FDP i „Zielonych”. Otóż SPD wyraźnie dąży w tej chwili do zjednania nie tylko owych niezdecydowanych, podatnych na chwilowe nastroje i koniunktury, ale także do przyciągnięcia części klienteli FDP i „Zielonych”. Mimo takich czy innych długofalowych zmian w polityce i programie tej partii, od powodzenia tych zamierzeń zależy się zależeć efekt wyborczy w 1987 r.

Jak z tego punktu widzenia należałoby oceniać wynik próby w Dolnej Saksonii? Odpowiedź nie jest bynajmniej prosta. CDU nadal zachowała tam dominującą pozycję i obsadziła urząd premiera krajowego, ale nie bez racji mówi się o kolejnej porażce. Taką bowiem kwalifikację uzyskała utrata poważnej części głosów tamtejszego elektoratu (spadek z 50,7 proc. do 44,5 proc.). Chadecy utracili więc absolutną większość i zmuszeni byli i na szczeblu rządu krajowego wejść w koalicję z FDP, która zresztą utrzymała swój stan posiadania (5,9 proc.), le-dwo gwarantującą obecność w Landtagu. Niemal wszystkie głosy utraciła przez CDU przejęła SPD, na którą głosowało 42,1 proc. wyborców. „Zieloni” uzyskali niewielki przyrost zwolenników z 6,7 do 7,0 proc. Tym samym socjaldemokraci przerwali i to nad wyraz efektywnie trwający od 1974 r. spadek wpływów w Dolnej Saksonii i potwierdzili zrywkę notowań w oczach opinii społecznej. Ale... chadeków nie pokonał, mimo wielkich wysiłków i osobistej popularności saksońskiego przywódcy Gerharda Schroedera, kolejnego zdolnego polityka młodego pokolenia w SPD. Nadal, mimo ewidentnych zysków, nie rozporządzają chyba siłą, która dałaby Johannesowi Rauowi fotel kanclerza.



DER „SPIEGEL”

Ciąg dalszy ze str. 1

Miara dorobku i doświadczeń

Powstanie nowych ośrodków akademickich miało też duże znaczenie dla aktywizacji gospodarczej i kulturalnej znacznych obszarów Ziemi Zachodnich, szczególnie Szczecina, Opola, Olsztyna i Zielonej Góry. Około 40 procent studentów wyższych uczelni na Ziemiach Odzyskanych rekrutowało się spoza tego obszaru, a po ukończeniu uczelni podejmowało pracę we wszystkich częściach kraju, przyznając się do zacieraania różnic między ziemiami „starymi” i „nowymi”. Wiele uczelni z tzw. centralnej Polski zawdzięcza wysoki poziom i rozgłos światowy niektórym dyscyplinom: archeologii, socjologii, mineralogii, językoznawstwu głównie dzięki inspiracji badawczej spowodowanej przez nasz powrót nad Odrę i Bałtyk.

Tak jak nowa jest tradycja większości uczelni wyższych na Ziemiach Zachodnich, tak nowa jest tradycja szkół średnich i zawodowych, a także większości szkół podstawowych. Np. w Zielonej Górze na 60 szkół średnich i zawodowych tylko jedna mieści się w budynku poniekąd, a na 18 szkół podstawowych — dwie. Poniekąd baza materialna szkolnictwa, stanowi dziś zaledwie niewielki odsetek.

Z pionierskiej pasji nauczycieli powstawały w połowie lat 50. tawarystwa społeczno-kulturalne w Zielonej Górze, Jeleniej Górze i Olsztynie.

W ciągu ostatnich 35 lat ukształtowało się nowe rozumienie stereotypu „Polak — Niemiec”. Bliskie kontakty i współpraca setek szkół i wszystkich uczelni wyższych z sąsiadami zza Odry i Nysy, uzupełniane kontaktami organizacyjnymi i klubowymi w klubach sportowych wywarły decydujący wpływ na przełamanie tradycyjnych sposobów myślenia, na powstanie nowych więzi, nowych za-sad współpracy. Nie są to tylko powierzchowne obserwacje. Fakty te znajdują potwierdzenie w badaniach socjologicznych, w dysertacjach doktorskich i innych pracach naukowych. Np. w Zielonogórskim bliskie kontakty z przyjaźniami z Nysy Łużyckiej utrzymuje ponad 50 szkół różnych typów, co ułatwia naukę języka, poznawanie kraju sąsiada, a także nawiązanie osobistych przyjaźni.

Gdy przed rokiem wszystkie szkoły naszego województwa podsumowywały swój 40-letni dorobek i przypominały na specjalnych sesjach przebytą drogę, nasuwało się wiele refleksji uświadamiających niemal konieczność bliższej analizy wielu doświadczeń, w zakresie potrzeb samej oświaty, jak i związków szkolnictwa z aktualnymi zadaniami rozwoju kraju.

W następujących płaszczyznach widzieć należy wykorzystanie analizy powyższych wniosków:

— we współpracy szkoły ze środowiskiem, z zakładami opiekuńczymi,

— we współpracy z organizacjami młodzieżowymi, podniesieniu rangi tych organizacji w szkole, uznaniu ich partnerstwa w procesie wychowawczym,

— w odbudowie faktycznych, a nie fasadowych związków nauki ze szkołą,

— w społecznym ruchu na rzecz pomocy szkole, szczególnie zaś w budowie nowych placówek oświatowych.

Odpowiedzi wymaga pytanie, co zrobić — aby wykorzystać niepowtarzalny klimat wychowawczy zasłużonych liceów pedagogicznych w Sułchowie, Jeleniej Górze, Legnicy, Nowej Soli, czy Lesznie. Wydaje się, że do ich tradycji winny nawiązać półwyspy szkoły przy gotujących nauczycieli do klas I-III.

Nie podzielam poglądu, że tysiące nauczycieli bez kwalifikacji, którzy uczą dziś za niskie płace, są elementem gorszym. Przy umiejętnym pokierowaniu ich losem i właściwym rozmieszczeniu mogą przynieść naszej oświacie wiele korzyści. Żal jednocześnie odchodzących przedwcześnie ze szkoły nauczycieli. Oni przecież stanowią pomost między bogatą, pełną treści tradycją powojenną naszej oświaty, a młodym pokoleniem nauczycieli i wychowanków.

Problemy, jakie stoją przed polską szkołą są wszędzie podobne. Refleksja nad przeszłością na pewno może pomóc w ich przezwyciężeniu.
HIERONIM SZCZEGOŁA

SĄ TAKIE WCZASY, na których nikt się nie nudzi, na których nikt nie narzeka na złą pogodę — ba, wielu z tych czasów uważa nawet pacyfizm za aurę.

Już po raz trzydziesty zjechał do Sławy Śląskiej entuzjastyczny brydżowy towarzyszy. Pisać o tych ludziach entuzjastycznie, to może trochę za mało, obserwatorowi z zewnątrz nasuwają się raczej określenia „pasja” a nawet niewinne „maniacstwo”.

Prezes

Okręgowy Związek Brydża Sportowego w Zielonej Górze, Roman Bresniński, rozpoczął swoją brydżową edukację jeszcze w latach 50-tych, w trakcie studiów. Chyba nawet laicy brydżowi zdają sobie sprawę z tego, że do gry w brydża potrzebne są cztery osoby. Prezes grał w akademiku w brydża, pięćosobowego. W tamtych czasach brydż był dyscypliną klasową obcą i w związku z tym jeden z graczy w akademiku stał zawsze na czatach.

Roman Bresniński współuczestniczył w organizacji brydża na Ziemi Lubuskiej, był też jednym z inicjatorów sławskiej imprezy.

Początki brydża sportowego

na Ziemi Lubuskiej, były bardzo dynamiczne. Pod koniec 1956 roku powstał Polski Związek Brydża Sportowego, a już jesienią 1957 roku utworzono w Zielonej Górze Związek Okręgowy. Pierwszym prezesem został inż. Kubiak, a wiceprezesem Roman Bresniński. Jak wspomina tamtejsze czasy, w Zielonej Górze od początku był „dobry klimat” dla brydża. Owcześnie wojewoda Jan Lembas był również pasjonatem tej gry i łaskawym okiem spoglądał na poczynania brydżystów. Na terenie miasta i województwa rozgrywano liczne turnieje, w tym największą popularnością cieszyły się rozgrywki w Urzędzie Wojewódzkim. W terenie powstało wiele sekcji. Prężnym ośrodkiem brydżowym było Krosno Odrzańskie, w Nowej Soli przy Zakładach „Dozamet” powstała sekcja „Wist”, która jest najstarszą sekcją w województwie. Założył ją w 1958 roku Edward Mnich.

Sława była najbliższa

Poznań, Wrocław, i Zieloną Górę jednocześnie, dlatego na tę właśnie miejscowość padł wybór gdy doszło do organizacji pierwszego spotkania. Trzeba przyznać, że los nie mógł lepiej zrządzić — położona nad dużym jeziorem, wśród lasów, posiadająca bazę wypoczynkowo-rekreacyjną Sława jest świetnym miejscem dla gości z całej Polski. Jak wspominałem, pierwsze, historyczne już rozgrywki, odbyły się między reprezentantami Poznania, Wrocławia i Zielonej Góry. Mecz rozpoczęło w sobotę w południe (nie było wolnych sobót), a zakończono w niedzielę.

W latach następnych imprezy modyfikowano, co trwa zresztą po dziś dzień. Do trzech wymienionych drużyn w następnym roku dojechała reprezentacja Szczecina. Ale brydżystom było tego za mało. Zaczęto rozgrywać turnieje par, od 1966 roku odbywają się spotkania kongresowe (cykl imprez), bardzo popularny stał się turniej par mixtowych (żeńsko-męski). Co ciekawe, przy tym wszystkim nie można mówić o żadnej gigantomanii. Sława ma ustaloną renomę, a sławskie mitingi są praktycznie niezmienniczym elementem w życiu wielu prestiżowych imprez umiaru śmiertelną gwałtowną. I nie ma w tym żadnej tajemniczej recepty na powodzenie. Chlubą sławskich spotkań jest ich znakomita organizacja, ale sedno odporności Sławy

wy na wszelkie kryzysy leży w tym, że impreza nie pochłania żadnych środków z społecznej kasy. Finansują ją sami uczestnicy. Mało tego, każdy mityng zasila kasę zielonogórskiego OZBS, dzięki temu istnieją środki na działalność z grupą rodzimych zawodników.

Przyjeżdżali tu najwięksi

mistrzowie polskiego brydża, jak mistrz olimpijski Krzysztof Martens, czy mistrzowie olimpiady w Seattle Piotr Tuszyński i Jacek Romański. W turniejowych szrankach stawał znakomity gracz i teoretyk Andrzej Wilkosz — do dziś istnieje system licytacyjny zwany „wilkoszem”. Ale poza sławnymi uczestnikami Sława ma też swoich stałych bywalców, którzy urlop bez brydża nad sławskim jeziorem uważają za stracony. Od lat 60-tych przyjeżdża tu wraz z rodziną obecny wiceprezes OZBS Lesław Hugieli. W Sławie zmarł przy stoliku jej wierny bywalec Walerian Mania — „Nawet nie zdążył się zderować. Zmarł przy drugim rozdaniu”.

Często brydż porównuje się z szachami. Zapewne dlatego, że obydwie gry opierają się na logicznych kombinacjach, no i rozgrywane są przy stoliku. Ale poza pewnymi podobieństwami więcej istnieje różnic, między innymi i ta że za wynik gry w szachach odpowiedzialna jest jedna osoba, zaś w brydżu dwie. Dlatego może szachiści są bardziej introwertyczni, natomiast brydżysty po trafieniu długo i głośno analizować nieudane zagrania. Przeważnie cała wina spada za porażką na partnera, ale i on nie pozostaje dłużny.

Dysputy trwają do późnej nocy

„Trzecia ręka”, „idiota wyszedł spod króla”, „miał piętego waleta” to kilka z wielu określeń, które można usłyszeć na sławskich campingach. Podczas obiadu tegoż panu oburzona, podniesionym głosem opowiada koleżance jakiegoś małego nadziejnego partnera i nie ma w tym żadnego erotycznego kontekstu. A może tamta para nad jeziorem szepcze sobie miłosne wyznania? Nie — on gestykuluje, ona prawie płacze — analizują „skopaną obronę” z poprzedniego dnia. Na śniadanie budzą mnie „głośne rozdania” w przedpokoju, głosy jeden przez drugiego, każdy ma inną koncepcję na prze prowadzenie wczorajszej, położonej gry. — Jeszcze się nie umyli a już grają — komentuje z sąsiedniego łóżka wspólny warzyz z pokoju, sędzia zawodów. Po dejrzeniu, że tej i poprzedniej nocy niejednemu z nich śniły się „obrazki”. Sukces w brydżu polega między innymi, na doskonałym rozumieniu się partnerów, dlatego dziwnym może się wydać (a może jest w tym jakiś ukryty sens?), że małżeńskie pary rzadko zasiadają do wspólnej gry. Do Sławy przyjeżdża małżeństwo, któremu wręcz zabroniono gry w jednej parze.

Rozgrywki zaczynają się już przed południem

O dziesiątej rano, w kilku dużych salach, kilkadziesiąt osób zasiada do stołków. Na plakietkach identyfikacyjnych odczytuje nazwy miast: Rzeszów, Wrocław, Koszalin, Katowice... Wiek zróżnicowany — od kilkunastu do kilkudziesięciu lat. Jest to dyscyplina, w której już niemiernie jest się do dwudziestego piątego roku życia. Górna granica wieku jest praktycznie nieograniczona — jedynym warunkiem jest jasny umysł i mocny, zdrowy kręgosłup. Stąd Związek Brydża Sportowego odczuwa ciągle niedosyt działaczy, gdyż w brydżu nie ma emerytury.

Zawodnicy otrzymują pudełka, w których w czterech kieszonkach znajdują się karty „rozdane” przez komputer. Licytują, rozgrywają, chowają karty do

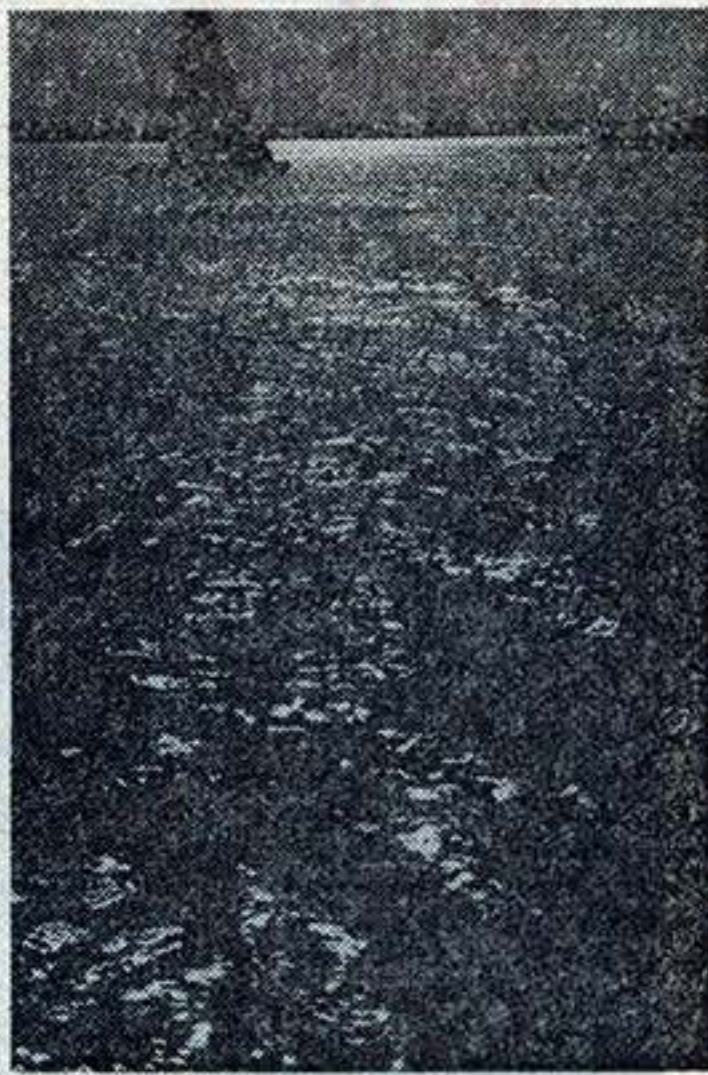
pudełek, zapisują wynik na specjalnej karcie, chwila dyskusji i już następne rozdanie.

— Panie sędzio! — podnosi się ręka jednego z graczy. Widocznie przeciwnicy zagrali nieprawidłowo. Przez moment trwają konsultacje. Sędzia nie uznaje protestu. W takim przypadku można odwołać się do sędziego głównego, a jeśli i jego decyzja nie usatysfakcjonuje graczy, do komisji odwoławczej, po wpłaceniu kaucji w wysokości 300 zł.

Mimo wczesnej pory jeden z graczy jest w dość kiepskiej formie, mruży o-

Zagrać

Piotr Piotrowski



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

czy z trudem rozróżniając kolory. I przy jego stoliku przeciwnik podnosi rękę. Problem zostaje wyjaśniony, ale sędzia proponuje „zmęczonego gracza” odpocząć, ten prostuje się na krześle, chce kontynuować grę.

W południe pod sufitem sali unoszą się kłęby dymu. Papierosowy dym jest argumentem dla przeciwników brydża. Rzeczywiście — w dusznej i zadymionej sali trudno wytrzymać, ale to nie zraża graczy. Władze brydża sportowego od pewnego czasu podjęły walkę z palaczami. Wprowadzane są sektory dla niepalących, w Sławie co dwie rundy, gra się dwie rundy bez papierosa. Wbrew pozorom brydż wymaga nie tylko kondycji psychicznej, ale też dużego zapasu sił. Stąd rozważa się wprowadzenie na turniejach ćwiczeń odprężających. Trzeba mieć dużo siły aby wytrzymać w konkurencji Pucharu Lata, w którym jest aż 160 rozdania. Puchar Lata jest konkurencją drużynową, a zapoczątkowano go trzy lata temu w Sławie. Nie jest to jedyna sławska „nowinka”. Mieli tu miejsce różne brydżowe eksperymenty, które na stałe weszły do brydżowej praktyki lub zostały zarzucone.

„Przewala się tu trochę szmalu”

mówi jeden z uczestników turnieju. Uczestnictwo w konkurencji wymaga wpłacenia wpisowego. Nie są to duże pieniądze — od trzydziestu złotych, w turnieju indywidualnym, do pięciu tysięcy w drużynowym. Część pieniędzy idzie na pokrycie kosztów imprezy, część zasila kasę OZBS-u, a od kilku do dziesięciu procent na grody pieniężne. Najwyższa nagroda — Puchar Lata — wynosi 30 tysięcy. Pow szechnie jest wiadomo o praktykach niektórych zawodników, praktykach nielegalnych tzw. „obstawianiu boka”. Grupa zawodników umawia się, że ten który zajmie najwyższą pozycję otrzyma od pozostałych umówioną kwotę pieniędzy od każdego miejsca zajętego przez pozostałych biorących udział w zakładach, tzn. że jeśli umówiona kwota będzie sto złotych, a najlepszy z zawodników uplasuje się na piątym miejscu, to pozostali, zajmujący miejsca dalsze placą od każdej różnicy po sto złotych, ten z czterdziestego musi zapłacić trzy i pół tysiąca. Są to jednak praktyki nielegalne i występujące w stopniu marginalnym. To i tak niewiele znaczy przy turniejach takich jak Cino del Duca w Paryżu, gdzie

nagrodą jest 20 tysięcy dolarów

Turniej w Paryżu należy do bardzo prestiżowych. Do takich zaliczyć też można cykl turniejów Philip Morrisa, dwa z dwudziestu turniejów Morrisa rozgrywane były w Polsce. Jeśli chodzi o sporto w stronę brydża, to do najważniejszych zalicza się olimpiady brydżowe, mistrzostwa świata i Europy. Polacy od 1978 roku odnosili sukcesy we wszystkich tych turniejach.

W Sławie spotykam Wojtkę Olańskie go, który zdobył w 1982 roku mistrzostwo Europy. Olański mieszka w Zielonej Górze, ale gra w barwach AZS-u Wrocław, wynika to z tego, że zielonogórscy brydżysty utracili miejsce w pierwszej lidze i jakoś nie mogą go odzyskać. Mimo młodego wieku Wojtek objechał już z kartami kawalek świata. Uczestniczył w turniejach w Paryżu, Wenecji, Monte Carlo, Wiedniu. W Austrii miał możliwość obserwowania pracy trenerów z młodzieżą. Sam również zdobył uprawnień trenerskie na podyplomowym studium trenerskim w Gdańsku. Ostatnio Związek Brydżowy podpisał z Ministerstwem Oświaty umowę o brydżowej edukacji młodzieży szkolnej; gra w karty została nobilitowana i w szkolnych murach. Wojtek Olański wprowadza mnie w szczegóły ligi brydżowej, która jest najbardziej rozbudowaną ligą po piłkarskiej. Składa się ona z sześciu szczebli, a w niektórych województwach nawet z siedmiu. Mecz ligowy składa się z 32 rozdania. Ze względów praktycznych organizuje się zjazdy kilku reprezentacji, tzw. kotły. Najbardziej markowe turnieje w Polsce odbywają się w Sopocie i w Warszawie. Sławę stawia się na trzecim miejscu, ale każdy podkreśla że sławskie turnieje są jedyne w swoim rodzaju.

Brydż na świecie

cieszy się dość dużą popularnością. W brydża gra się na Tajwanie, w Indonezji, Pakistanie, Brazylii, USA, w Europie Zachodniej. W krajach socjalistycznych brydż nie odgrywa większej roli, liczy się tylko brydż polski i węgierski. W latach 60-tych najsilniejszy w brydżu byli Włosi. Włoski team składający się z ludzi z różnych środowisk i profesji aż trzykrotnie razy pod rząd triumfował w mistrzostwach świata. Nie podobało się to Amerykanom, którzy byli niejako

etatowymi wicemistrzami. Nie pomogli nawet zabiegami amerykańskiego multimilionera, który stworzył luksusowe warunki treningowe ośmiu amerykańskim graczom. I ta ekipa przygotowana z dużym nakładem środków zebrała cieżki od włoskiego zespołu. Amerykanie oskarżyli Włochów o nieuczciwą grę, sugerowali że Włosi porozumiewają się w sposób, na jaki regulamin nie zezwala. Oszustwa nie udowodniono, ale aby uniemożliwić ewentualną nieuczciwą grę wymyślono screensy, kurtynki zasłaniające partnerów, gracze widzą tylko przeciwników. Licytacja odbywa się przy pomocy tabliczek. Tego typu środki zapobiegawcze stosuje się w turniejach światowej rangi, w Sławie gra się w stary sposób.

Po trzech godzinach

gracze udają się na przerwę obiadową. Gra zostaje wznowiona o godzinie piętnastej. „Zmęczony gracz” jest w jeszcze gorszej formie niż przed obiadem, popełnia błędy, przeciwnicy wołają sędziego. Wylicytował z partnerem trzy bez atu i po chwili leży bez czterech. Kilkunastoletni chłopak, który początkowo był przerażony stanem fizycznym przeciwnika teraz uśmiecha się lekko. Gra toczy się do godziny osiemnastej, a później od dwudziestej do dwudziestej trzeciej — dziewięć godzin gry! I tak przez dwanaście dni.

Gdy gracze śpią

śniąc o wspaniałych rozdaniach, w piwnicy jednego z domków campingowych Krzysztof Makomaski z Wrocławia oblicza wyniki turnieju. Wspaniałą nowością dla organizatorów i graczy jest zastosowanie do obliczeń komputera. W poprzednich latach na wynik czekano po dwa dni, obecnie listę nazwisk komputer podaje po kilku godzinach. Z zapartym tchem obserwuje jak Krzysztof Makomaski „rozmawia” ze swoim komputerem. Na ekranie pojawiają się pytania i polecenia

LICZYMY TURNIEJ INDYWIDUALNY? NAZWA?

s lub n

Pojawiają się długie kolumny liczb.

CZY ZAPISY POPRAWNE?

CZY SĄ DANE O NIEOBROTACH?

Około drugiej godziny komputer powinien wydrukować listę nazwisk i wyników z turnieju indywidualnego, ale w programie jest jakiś błąd — drukarka nie drukuje nazwisk a tylko liczby. Jeszcze o czwartej nad ranem nie ma wyników. Dopiero ok. czwartej trzydzieści zmęczony Krzysztof Makomaski znajduje błąd, drukarka wystukuje listę nazwisk.

Brydż etagle jeszcze jest dyscypliną męską,

choć spotyka się też gracze panie, ale są one w zdecydowanej mniejszości. Ten mankament (?) próbuje się zlikwidować przy pomocy turnieju mixtowego, który cieszy się wzrastającą popularnością. Zastanawia ta mniejszość kobiet przy brydżowych stolikach. Może to mężczyźni bronią pozycji monopolistów? A może to panie nie lubią pozostawać w cieniu, nawet jeśli rywale jest narysowana na karcie do gry?

Pewnym zrównoważeniem tej anormalnej sytuacji jest tradycyjny bal w „Kormoranie”, zamykający brydżowy mityng. Bal, jak twierdzi prezes Bresniński, należy do konkurencji mityngu, a konwencje licytacyjne są zupełnie dowolne.



PRZED SEZONEM 1986-87

AUTORZY ministerialnego projektu „Programu rozwoju kultury” twierdzą, że stan krytyczny, w jakim na początek lat osiemdziesiątych znalazło się na życie kulturalne i artystyczne, już minął oraz, że „zmniejszenie się zasięgu uczestnictwa w kulturze uległo zahamowaniu”. Jeśli autorzy owego projektu uważają, że nieznaczny wzrost czytelnictwa prasy i książek oraz większa frekwencja w kinach są dowodami owej poprawy, to jest to tylko zawodo wej optymizm specjalistów z ministerialnych biurów. Bo tak naprawdę coraz mniej ludzi bywa w filharmoniach, salonach wystaw artystycznych, muzeach, teatrach. Mam przed sobą dane GUS-u, z których wynika, że w lipcu 1985 (czas zbierania informacji) i rok wcześniej 40,2 proc. badanych nie przeczytało ani jednej książki, 52,9 proc. nie było w kinie, 85,2 proc. nie pożyło do teatru, a 87,6 proc. nie odwiedziło muzeum. Oczywiście są to dane uzyskane od wybranych obywateli, czyli bliskie 12 tys. respondentów, co, zdaniem autorów owej publikacji, jest reprezentatywne dla blisko 28 mln obywateli PRL w wieku powyżej 15 lat. Najmniej Polaków chodzi na koncerty symfoniczne (5 proc. badanych), galerie od wiedz 8,4 proc., muzea — 13 proc., tea-

try — 14,8 proc., biblioteki — 25,4 proc., kina — 47,1 proc. Aż 98,4 proc. badanych przez GUS ogląda telewizję, co wcześniej potwierdził raport Narodowej Rady Kultury. Największą popularnością u Polaków cieszą się więc formy najprostsze, najłatwiejsze w odbiorze, nie wymagające większego zaangażowania intelektualnego i wychodzenia z mieszkania.

Na zorganizowane w lipcu br. konferencji prasowej dyrektor gorzowskiego Teatru im. Juliusza Osterwy z zadowoleniem stwierdził, że osiągnął sukces, bo 81 tys. widzów obejrzało przedstawienia na scenie gorzowskiej. Dodał, że Gorzów liczy 120 tys. mieszkańców. Dyrektor zapominał powiedzieć, że jest to sukces niezbędny dla dobrego samopoczucia jego i jego zespołu, bo tak na prawdę Gorzów wcale nie jest wyjątkiem na teatralnej mapie Polski. Otóż w minionym sezonie Teatr im. J. Osterwy wystawił 9 premier, czyli, że każda sztuka obejrzała 9 tys. gorzowian, oczywiście statystycznie. Albo inaczej: na 360 przedstawieniach, jakie odbyły się na scenie gorzowskiej, było 81 tys. widzów, czyli jedno przedstawienie znowu statystycznie, obejrzało 225 osób. Świadczy to jedynie o tym, iż podczas przedstawień sala była zapełniona tylko w połowie. Odrzućmy statystykę, w kulturze okazuje się ona niekiedy bała mutna. Zgódźmy się z dyrektorem Antonim Baniukiewiczem, że miniony sezon artystyczny w Teatrze im. J. Osterwy był udany.

40 sezon scena gorzowska zainaugurowała „Dożywociem” Aleksandra Fredry, zrealizowanym jeszcze w sezonie poprzednim. Potem była jedna z naj-

ważniejszych premier — Wojciecha Bogusławskiego „Cud mniemany” czyli Krakowiacy i Górale” w reżyserii dyrektora Teatru. Przedstawienie to przygotowane na uroczystości jubileuszowe, a grano je 72 razy, co jest oibryzm sukcesem Teatru. Na drugim miejscu pod względem popularności znalazło się „Czarodziejskie krzesiwo” Krystyny Wodnickiej na motywach baśni J. Ch. Andersena, w reżyserii Konrada Szachnowskiego. Przedstawienie to powtarzano dla dzieci 62 razy. Wojciech Jesionka wyreżyserował „Rozmowę z katem” Kazimierza Moczarskiego, które grano 35 razy. Potem była sztuka Jacka Janczarskiego „Umrzeć ze smiechu” (reżyser Stanisław Łuznik), rzecz niezbędna w repertuarze teatru popularnego, a takim chce być scena gorzowska. 8 marca br. Teatr zaprosił gorzowian na polską prapremierę „Tamerlana Wielkiego” Christophera Marlowe’a w reżyserii Wiesława Gorskiego. To przedstawienie uważane jest w środowisku teatralnym za największe osiągnięcie sceny gorzowskiej, czego potwierdzeniem było zaproszenie Teatru na festiwal do Torunia. Sezon zakończyły 3 premiery: „Spowiedź Stawrogina” według „Biesów” Fiodora Dostojewskiego, „Sen srebrny Salomei” Juliusza Słowackiego i „Okapi” Stanisława Grochowiaka.

Zadne z przedstawień nie było zdecydowanie źle, jak i żadne się nie wyróżniało. Ale to samo można powiedzieć o premierach na wszystkich scenach Polski w sezonie 1985—86. Chociaż w warunkach Gorzowa, gdzie zespół teatralny liczy tylko 30 aktorów, przeciwnie już jest sukcesem. W repertuarze dominowały sztuki autorów polskich, a to m.in. dlatego, że scena gorzowska obchodziła swoje 40-lecie. Ale w tym repertuarze niewiele było propozycji dla młodzieży szkolnej i prawie nic dla dzieci. Teatr nawiązał kontakty ze szczecińską „Pielęgą”, próbo-

wał ratować sytuację, jednak, jak to się mówi, z przyczyn niezależnych od Teatru, współpraca ta była niekorzystna dla gorzowian. Tylko połowicznym sukcesem zakończyły się Gorzowskie Spotkania Teatralne. Zaproszone teatry albo odmawiały swojego udziału, albo w ostatniej chwili powiadały „nie”, albo nie widziały w tym „żadnego interesu”. Co dyrekcja sceny gorzowskiej mogła zrobić, to zrobiła. Czym dziś skuś teatr warszawski, łódzkie, krakowski do Gorzowa, tego chyba nikt nie wie. Jeśli w przyszłym roku odbędzie się Spotkania, powinny one mieć repertuar bardziej urozmaicony. Może wzbogacić je o spektakle muzyczne, komediowe, rezygnując z teatrów dramatycznych? Może organizować je tylko w ciągu jednego tygodnia? Może nie zapraszać aż tylu teatrów?

Największym „grzechem” Teatru im. J. Osterwy jest to, że grał on przede wszystkim na scenie własnej, zapominając o małych miejscowościach województwa. No, ale gdyby gorzowianie nie chodzili do teatru, zapewne dyrekcja sceny szukałaby widzów poza swą siedzibą.

Teatr w Gorzowie jest potrzebny, tak jak wszędzie, jaki proponuje Antoni Baniukiewicz, a więc popularny, dla wszystkich. Dali temu wyraz mieszkańcy miasta, uczęszczając na spektakle. Również i zakłady pracy chcą mieć teatr na miejscu, o czym świadczy ich dość liczny udział w remoncie gmachu.

W nowym sezonie teatralnym 1986—87 Teatrem im. Juliusza Osterwy będzie kierował nadal Antoni Baniukiewicz.

wicz, mając do dyspozycji 30-osobowy zespół aktorski (18 mężczyzn i 12 kobiet). Dyrekcja proponuje na inaugurację sezonu Witolda Gombrowicza „Iwo na księżniczkę Burgunda” w reżyserii Ryszarda Majora. Potem Teatr wystawi „Turonia” Stefana Żeromskiego, „Słowacka wyspę” Władysława Wojciechowskiego, „Wujaszka Wanie” Antoniego Czechowa. Wydarzeniem sezonu powinna być polska prapremiera sztuki Thomasa Heywooda „Piękne dziewczę z zachodu” w reżyserii Wiesława Gorskiego (ostatnio reżyserował „Tamerlana Wielkiego”). Czy gorzowianie obejrzą „Pułapkę” Tadeusza Różewicza w reżyserii Ryszarda Majora, jeszcze nie wiadomo. W każdym bądź razie, dyrektor A. Baniukiewicz robi wszystko, by znakomity reżyser pracował w Gorzowie. W repertuarze na dużą scenę znajdują się również „Konfederaci barscy” Adama Mickiewicza, „Gwiazda Sewilli” Lope de Vega lub „Wesele Figara” Beaumarchais. Na małej scenie Teatr zamierza wystawić: „Remont” Andrzeja Kondratiuka, „Rozmowę z własną nogą” Anny Świrszczyńskiej i „Pokojówki”. Czy dojdzie do wszystkich premier w Gorzowie — o tym dziś za wcześnie. Dyrekcja Teatru zapewnia, że zrobi wszystko, by w nowym sezonie na spektaklach było jeszcze więcej widzów.

A. SIATECKI

Po co nam historia?

Jakże często powtarzają się w publicznym obiegu pytania następujące: „po co nam historia”, „czemu historia służy”, „dlaczego uprawia się historię?”, „komu jest historia potrzebna?”. Owych ciągle aktualnych pytań nie unikniemy i do lamusa historii odłożyć nie możemy. Człowiek bowiem jest uwikłany w historię. Jest w historii i jest historią zarazem, toleruje ją lub odrzuca, kocha ją, a zarazem nienawidzi. Tak było w przeszłości, tak jest i obecnie.

Nie więc tedy dziwnego, że ludzie często zapytują o sens historii, starając się odnaleźć odpowiedź na pytanie o celowość jej uprawiania i rozumienia (historiografii). Uprawia się historię, bada ją i interpretuje, bo jest ona po prostu ciekawa, frapująca, bo bez historii nie ma kultury, bo pozwala wreszcie zrozumieć losy społeczeństw i narodów. Historia uczy i wychowuje. Ma walor poznawczy i edukacyjny. I tak należy ją postrzegać.

Omawiany zbiór esejów „Po co nam historia?” ukazał się w Meksyku w 1980 r. Stała się ona bestsellerem, lecz zarazem przedmiotem ostrych polemik. Zapoczątkował ją obszerny artykuł recenzyjny naszego historyka Enrique Krauze. Zaatakował on autorów książki za ich uprawianie prezentyzmu, za polityzację historii, za holdowanie liberalnej, rzec by można opozycyjnej wobec władzy i państwa historiografii. Domagał się w konsekwencji traktowania historii jako nauki służącej wykrywaniu prawdy, nie zaś jako nauki uwikłanej w polityczną teraźniejszość.

Zbiór esejów tworzy dziesięć szkiców oraz wprowadzenie pióra Alejandro Moreno Toscano, historyka, dyrektora Głównego Archiwum Narodowego Meksyku. W gronie autorskim zasiadają w większości czołowi historycy meksykańscy (np. Florescano i Gonzales), historycy kultury (Blanco, Monsivais), etnologowie (Bonfill Batalla), politologowie (Córdova). Wszyscy są eseiistami, filozofami społecznymi, rozmyślającymi nad sensem człowieka w historii i polityce.

Historia uprawiana w Meksyku jest ściśle związana, znacznie silniej niż w Polsce, z różnymi naukami o człowieku i jego kulturze. Tworzy organiczną więź z ekonomią, socjologią, filozofią, psychologią i last but not least — nauką o polityce. I to jest ową integralną spójność na historię, która jest przecież zjawiskiem społecznym, przenika ludzką egzystencję, kulturę i politykę.

Autorzy książki kładą silny nacisk na codzienną, dzisiejszą, społeczną i polityczną funkcję historii. W pytaniach o sens historii odwołują się właśnie do tej jej funkcji i roli. Aplikacyjny status historii można oczywiście różnie rozumieć. Historycy jednak głównie powinni służyć społeczeństwu, które jest twórcą i podmiotem dzieł procesu historycznego. Jednak najlepszy nawet erudyta, który traci kontakt ze zbiorowością społeczną, ową żywą materią, niewiele znaczy.

Burliwe dzieje Meksyku, zwłaszcza najnowsze, a także swoista cykliczność rewolucji w kraju Azteków i Majów, Hiszpanów i Metysów zdeterminowały poważnie sposób widzenia i interpretacji historii przez meksykańskich uczonych i intelektualistów. Myślą oni o historii, myśląc głównie o historii Meksyku. Jest to w konsekwencji według Tadeusza Łepkowski „historia rozdarta, pęknięta, na pół prawdziwa, na pół fałszywa”. Bo inna być nie może.

Ow dramat historii Meksyku ilustrują sugestyjnie szkice poświęcone omawianej pracy. Oto dwie opinie: Carlos Pereyra „Bez odwołania się do wiedzy historycznej nie można dzisiaj odpowiedzieć na żadne z pytań dotyczących obecnej sytuacji (Meksyku W.H.). Im bardziej zagmatwana i chaotyczna wydaje się dawna koniunktura (...) tym większej wagi nabiera udział badań historycznych...”, Luis Killaro: „Taki jest ostateczny cel historii, jej najgłębsze znaczenie, nadawać sens życiu ludzkiemu...”

Wypada kończyć. Czytelnik polski, uczulony na własną historię, otrzymał więc zbiór esejów o historii Meksyku. Może więc teraz skonfrontować z historią własną. I to jest jeden wątek refleksji. Drugi dotyczy refleksji ogólnej nad sensem historii. Eseje te każą myśleć, ukazują historię żywą, dynamiczną. Na mawiają nas by historię rozumieć, by ją przeżyć i tworzyć (kreować) świadomie i z rozsądkiem.

WIESŁAW BŁADKIEWICZ

„W podłej trawce, w dzikim lasku
Urosł, o kwiatusku lubym!
Mało wzrostu, mało blasku,
Cóż ci daje tyle chłuby?”

A. Mickiewicz: Pierwiosnek

1.

Był początek grudnia, kiedy przyszło na świat do dziecka nieszczęście. Jakas gwiazda pomyślniejsza musiała jednak nad nim zaświecić, bo przymioty ducha takie się w dziewczynce wykształciły, że z najcięższych prób w życiu wychodzi cała. Nie zalamuje się. Nie poddaje.

2.

Do szkoły poszła o rok później. Rodzice tak zadecydowali. Mieszkali wtedy na wschodzie, we wsi tak odległej od wszelkiej cywilizacji, że matka powiedziała: — Zal takiego krasnala posyłać. Jeszcze go próbki zjedzą, boć droga do szkoły daleka i groźna przez las wie dzie. Dowozu dzieci do szkół nie było. Zresztą, w domu co roku rodziło się kolejne dziecko i siedmioletni krasnal był bardzo przydatny. Śmiały się później dzieci w szkole — już tu na Ziemniach Zachodnich — że na pewno „siedziak” i dlatego ma 8 lat w pierwszej klasie. Ciągłe dostarczanie powodów do śmiechu. Raz mama kupiła najtańszą flanelę i poszła dziewczynkom sukienkę. Dumna była, że ma nową sukienkę. Mój tata ma z takiej flaneli piżamę, a z resztek jest jeszcze szmata do podłogi. Dziś śmieje się z tego, ale wtedy było to bolesne przeżycie. Któż wie, że w jej domu tygodniami nie było chleba, że chorób było więcej niż dzieci a dzieci więcej niż pieniędzy. Nie było mowy o tym, żeby mogła uczyć się dalej. Trzeba było pójść do pracy.

3.

Miała dwadzieścia lat, kiedy jej matka zaszła po raz ostatni w ciążę. Wyjątkowo n-rwowa się zrobiła, jak przy żadnej poprzedniej. Plakała po kątach. Raz nawet pokłóciła się z ojcem. Wyrzucała mu, że niczego przy nim nie znalazła w życiu, prócz biedy i pracy. Ojciec zdenerwował się, ubrał i wyszedł. Wtedy weszła do matki, by ją uspokoić.

Nie martw się — pocieszała — urodziłaś nas tyle, to i jeszcze jedno urodzisz. Wykarmisz, też się jakoś wykarmisz. Obiecuję ci, że pomogę wychować to dziecko.

Przy wszystkich dzieciach pomagała. Jako najstarsza córka stała się dla młodszych braci i siostr niemal drugą matką. Prała pieluchy, szorowała po długi do białości, nianczyła najmłodsze, pomagała w polu. Zbierała zioła, żeby parę groszy na chleb, na buty zarobić. Dla matki była jedyną w życiu, najserdeczniejszą przyjaciółką. Matka dla niej również. Podziwiała ją za hart ducha, za cierpliwość i pokorę, za pracowitość i gospodarność. Ojcu miała za złe, że tak niezadany życiowo, że tylko dzieci płodzi i o ich przyszłości nie myśli. Później sama przez los ciężko doświadczona rozumiała, że innym być nie mógł. Kto go miał uświadomić? Z ciemnej wsi wyszedł, bez ojca chowany, bez szkół, całe życie chorowity. Dumna jest, że to człowiek dobry i uczciwy.

4.

Zawaze marzyła, żeby zostać pielęgniarką. Przy dzieciach w domu wywili czytała się w niej niejednym, nauczyła się i reszty. Rodzice mieliby z nią wtedy wygodę. Poszła do zawodówki, której nie skończyła, bo choroby jej przerwały naukę. Miała 16 lat i nie przypuszczała, że ten atak nerek to początek lancucha chorób. Nie wiedziała, że do szkoły już nie wróci, że nigdy wymarzonego zawodu nie zdobędzie. Całe życie, od młodych już lat jest inwalidką, która wolno najwyżej na pół etatu dorobić. Ostatnio chorowała na zapalenie oskrzeli. Lekarz bezwzględnie kazał jej leżeć. Uprosiła, żeby nie wypisywał zwolnienia, bo woli z urlopu skorzystać. Nie miała już dawno żadnego urlopu, ale myślała: w końcu nie mi się sta nie, jeśli pójdę co rano posprzątać. Ta praca ją trzyma na duchu. Dumna jest, że tam, gdzie sprząta, jest eżekielutko, że aż każdy zwraca uwagę.

5.

Dwa razy w życiu przeżyła — jak mówi — baśń o Kopciuszku. Za każdym razem inaczej. Miałe to śmieszne i ckie we, ale życie tak właśnie naśladuje baśń. Z dala od rodzinnego domu, w szkolnym internacie, żyła dziewczyna uboga. Była bardzo ładna, choć skromnie odziana. Butów nie miała, ubranie polatane, ale zawsze była czystość od niej. Dobra była i pracowita. Pewnego razu poznała w szpitalu młodzieńca, który, jak i ona, chciał w życiu nieść pomoc ludziom. Złoczyła ich ta myśl. Pokochał się gorąco. Dobrze im było ze sobą, chociaż on był królewiczem, a ona tylko Kopciuszką. On zamożny, z inteligentnej rodziny, ona z najbiedniejszego chłopstwa. Wstydziła się swojej biedy, lecz on na to nie zważał. Jego rodzice czuwal jednak, by nie spełniła się baśń do końca.

— Jak mnie zobaczyli w tenisówkach — wymyja — to się wystraszyli. Inną żonę wymarzyli dla swojego syna: wykształconą, bogatą. A cóż ja? Wstyd się przyznać, pierwszy w życiu biustonosz od niego dostałam. Szliśmy ulicą, zobaczyłam — na wystawie taki ładny le-

żał, że aż krzyknęłam odruchowo. A on: jak ci się podoba, to ci kupię. Nie, nie — broniłam się — ja nie noszę, nie lubię, bo mnie ciśnie. On był delikatny i wiedział, co o tym myśleć.

Przez pięć lat się kochali i wierzyli, że szczęście ich nie opuści. Ale opuściło. Rodzice zniechęcili syna do Kopciuszki, jej choroby odgradzały ich od siebie i skończyło się. Trywialnie skończyło się. Powiedział: Wiesz, że cię kocham, ale nie mogę tak wbrew woli rodziców, przytaknęła, bo co miała robić? Od zmysłów odchodziła później, cierpiała, wpadła w nerwicę, wyładowała w szpitalu psychiatrycznym. Wszystko przeżyła dopiero po wielu latach, kiedy powtórzyła się podobna historia.

DRUGA WERSJA KOPCIUSZKA

Tym razem ona miała zagrać rolę królewicza, a Kopciuszka mężczyzna. Zjawili się goły, bosi, bez przyszłości, z mętłą przeszłością, ale dobry był i pracowity. Pokochał się i ona, nie bacząc

sobie prawo do renty. Wtedy tylko dwa lata jej wystarczyło. Aż dwa lata. Sama nie wie, jak dala radę tyle przepracować. Przecież ona tak chorowała, że tylko brała przepustki ze szpitala, kiedy koleżanki siostry wychodziły za mąż, bracia się żenili.

Raz tylko przeżyła kryzys. Wyszła ze szpitala na ślub siostry młodszej o trzy lata. Tu radość, wesele, a ona wie, że za kilka dni pójdzie na operację, której efekt stoi pod znakiem zapytania. Inni zdrowi, śmieją się, bawią, myślą o przyszłości, a ona? Żeby chociaż życia mogła być pewna a tu myśl o śmierci jej nie odstępują. A przecież nie była przewrażliwiona, nawet poważne operacje nigdy dotąd nie trwożyły jej tak, jak ta jedna.

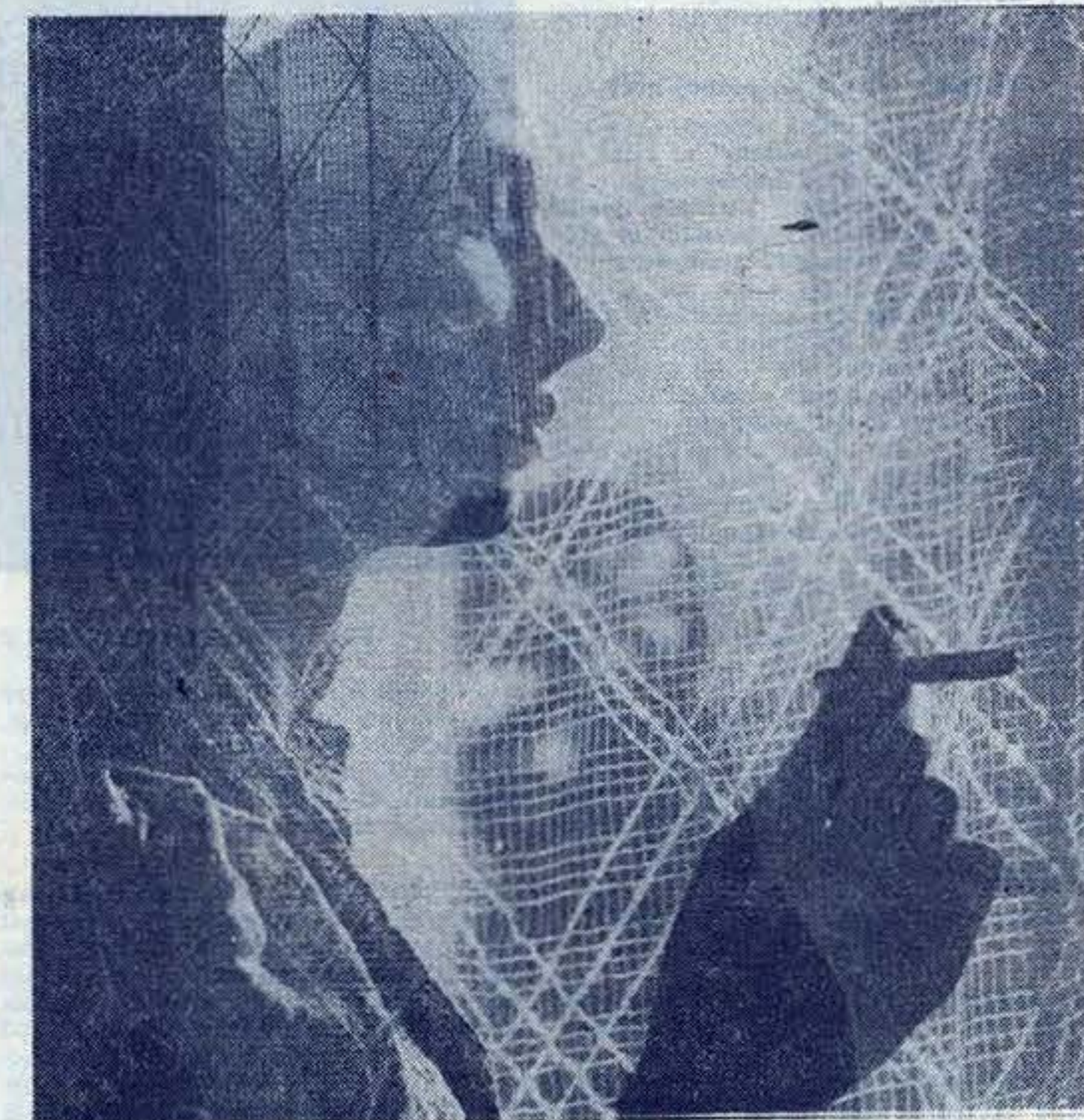
Wstyd jej, bo niepotrzebnie panna młoda popłakała się przez nią.

7.

Był sierpniowy, pogodny dzień, gdy młodym Lotta młodego Wetera — szła

Ballada o niezłomnej

Dorota Frątczak



Fot. ELŻBIETA WALENSKA

na jego błąd, zabrała go do swego pała ku w wynajętym pokoju. Całe „pałacowe” wnętrza było tylko jej dziełem, on wnosił jedynie siebie i swoje kłopoty. Czuli się głupio, chciał także mieć jakiś udział w budowaniu ich królestwa. Na razie nie było mu to dane, bo popadł w takie tarapaty, że czekał tylko, kiedy go ukochana przegoni. Ona jednak nie odrzuciła go. Nareszcie los Kopciuszki mógł się potoczyć po jej myśli, zgodnie ze schematem baśni. Tamten królewicz nie stanął na wysokości zadania, ona zaś koncertowo odegrała obie role — i Kopciuszka w pierwszej wersji, i królowicza w drugiej. Pierwsza rola była romantyczna, lecz nie przyniosła jej szczęścia, druga jest bardziej wyrozumowana, za to bardziej do baśni podobna w swej optymistycznej wymowie i zakończeniu. Ślub się odbył, wesele również, a życie dopisuje ciąg dalszy i to jak dotąd bez łamania konwencji.

8.

Na piersiach robiły się jej torbiele, które trzeba było usuwać, ciśnienie skakało do utraty przytomności, w płucach rządziło, w oczach ciemło, w kościach chrzęściło, w stawach wyrodniało. Wlecz nie coś. Trudno zliczyć ile dni, tygodni, miesięcy spędziła w szpitalach. I wlecz nie samotna, jak ten pies. Kto ją miał odwiedzać? Matka zajęta dziećmi? Ojciec, który albo sam chorował, albo w gospodarstwie pracował? Poza tym po drodze do szpitala kosztuje, w domu nie było na to pieniędzy.

W dni odwiedzin do każdego ktoś przychodził, przyjeżdżał, tylko do niej nigdy nikt. Dobrze, że chociaż na czas wizyt pielęgniarki brały ją do dyżuru, tam — twierdził — było przeżywać te wszystkie odwiedzin. Ileż operacji przeszła, ile zabiegów, ile razy myślała, że to już koniec? Pomała trochę pielęgniarkom, zadowolona, że choć tyle mo że się otrzeć o ten wymarzony zawód. One też dbały o nią, kiedy wracała spod noża. Przez te szpitale nauczyła się czytać książki, traktować je jak jeszcze jedno lekarstwo na swoje choroby — na chwile szczególnie samotne i trudne.

Przez krótki czas, kiedy cieszyła się lepszym zdrowiem, udało się jej trochę popracować na nocnej zmianie w charakterze salowej. Zadowolona była z tej pracy i zawsze dorobiła do renty — meble za to kupiła. Później znowu zdrowie jej się pogorszyło i zostało tylko sprzątanie. Zdążyła jeszcze, przed przerwaniem na najcięższych chorobach, wypracować

przez podwórko otoczona gromadą dzieci i zachwycała swym widokiem. On siedział na ławce w towarzystwie jej braci i grał na gitarze. Miała na sobie niemodną, króciutką sukienkę, ale to dodawało jej powabu. Zdziwił się, że ma tyle dzieci.

— To nie jej — pośpieszyli z wyjaśnieniem bracia — to nasze dzieci i są siadów. Nasza siostra jest panna.

Wieczorem wszyscy razem rozsiadli się w ogrodzie, przy cieście i kawie. Wieczór był ciepły i miły, rozmawiali chyba do czwartej nad ranem. On pytał:

— Jak to jest, że taka ładna dziewczyna na dotąd nie wyszła za mąż?

— Nikt mnie nie chciał — śmiała się, a później opowiadała jak wyglądała jej życie, życie chorej, samotnej kobiety.

— Co ty na to — wyskoczył z głupia frant — gdybyś ci robił co dzień zakupy? Przecież codziennie rano idąc do pracy przechodził koło spożywczego i koło twoich drzwi, więc co mi szkodzi?

— Tak się zaczęło. Przynosił co rano świeże bułeczki. Ona gotowała mu miedzne zupy, które uwielbiał, promienia ciepłem, jakiego w życiu nie znalazł, po tygodniu pozwoliła mu zostać na noc. Przeżyli ze sobą szczęśliwe trzy miesiące.

— Przez ten czas — wspomina w dwa lata później — czułam się tak, jak bym miała znów 19 lat i nigdy nie znalazła chorób. Był dla mnie tak dobry, że ja w życiu czegoś takiego nie znalazłam. Kiedy w nocy mnie dusiło, potrafił wstać, żeby mi herbaty zrobić. Nie dawać mi nie pozwolił. Nawet do gotowania się zabierał. Taki opiekuńczy był.

8.

Inni mówili mu, że jest niepoń. Tylko ona jedna w niego wierzyła. To nic, że jest od niego prawie o dziesięć lat starsza. Jemu wydaje się piękna i młoda. Postanowili się pobrać. Szli złożyć papiery do Urzędu Stanu Cywilnego, gdy wreszcie wydusił siebie to, co mu przez cały tydzień ich znajomości leżało na sercu. J. zce zanim ją poznał, przytrafiło mu się coś paskudnego. Przy szedł do niego kolega, ale matka kazała im się wynosić z domu. Poszli więc do bramy. Ktoś jeszcze się przyłapał. Wywiązała się bójka. Później jakiś kradziony zegarek sprzedawał...

— Będę miał sprawę — wyrzucił.

— To nic. Ja cię nie opuszczę w biedzie.

— Ale dostanę wyrok do bezwzględnej odsiadki, bo to recydywa.

— Nie pytam cię o twoją przeszłość. To nie ma dla mnie znaczenia.

— Boże, co ja narobiłem?

— Jeśli źle zrobisz, to odbędziesz karę. Ja będę czekać na ciebie choćby i dziesięć lat.

Dostał wyrok. Dwa lata i osiem miesięcy pozbawienia wolności, plus grzywna. Przyszli po niego rano. Otworzyła drzwi. Odrzuciła ją na bok z wulgarnym komentarzem, rzuciła w jej obronę z pyskiem. Ty sukiny — odpowiedział — szybciej się ubieraj.

9.

Od początku jeździła do niego do zakładu karnego w odwiedzin. Naczelnik więzienia dziwił się, pytał czy dobrze zastanowiła się nad tym, co robi. Tak. Zastanowiła się. Ten ślub się odbył. I odbył się. W Sylwestra. Dostał z więzienia pięć dni wolnego na tę okoliczność. Wszystkie sama kupowała, zalecała, ale przecież ona jest przyzwyczajona do tego.

Na weselu nie było nawet wszystkich siostr i braci. Razem mają trzydzieści rodozeństwa, a gdyby jeszcze liczyć bratowe i szwagrowe, a ich dzieci? Nie, jej nie stać na takie weselisko. Byli tylko ko najbliżsi. Tylko ci, którzy zaakceptowali to małżeństwo. Śmiali się ludzie z niej, że za bandytę, za więźnia wychodzi, śmiali się z niego, że ze starszą od siebie się żeni.

— Kryminalista — syczeli jej jadowite — kryminalistą zostanie.

Kiedy po ślubie szedł na komisariat odmeldować się, że wraca do zakładu karnego, milicjant złożył mu życzenia wszystkiego dobrego na nowej drodze życia.

10.

Z początku jeździła co dwa tygodnie, ale każdy taki wyjazd kosztuje i nie daje już rady. Teraz jeździ raz w miesiącu. W szczecińskie go przeniesli. Jego rodzina nie jeździła wcale. Raz tylko matkę udało jej się namówić na odwiedzenie syna. Ona rozumie co znaczy samotność. Tam musi być jeszcze gorzej, niż w szpitalu. Wie, że zalamaby się, gdyby go zostawiła. Czeka na nią. Na jego powrót tylko ona czeka. Jego rodzina jest zimna, wprost lodowata. Sama więc, pomyślała, jak to wszystko urządzić, żeby po powrocie nie ciągnęło go tamtych kolegów, do kieliszka, do chuligaństwa. Pewnie, że różne może się zdarzyć, ale ona wierzy, — będzie do brzo, bo przecież to dobry chłopak. Zola dźl. Każdemu może się zdarzyć. Jego praktycznie ulica wychowała — ojciec był alkoholikiem, matka pokątną handlarz. W domu był niechciany, trudno się dziwić, że wpadł w złe towarzystwo, że dopuścił się przestępstw. Nie można jednak człowieka tak pogrążyć — powtarza często. Trzeba mu dać szansę, dać rękę. Jej nikt nie chciał ręki pdać, wiecznie była ubogim Kopciuszkiem, więc kiedy ona komuś może pomóc, to poda rękę, choćby miała się sparyć Zaryzykuje.

11.

„10 października 1985. Kochana. Na wstępie mego listu pozdrawiam Cię mi le i serdecznie oraz całuję mocno i gorą co (...) Sama wiesz, że bardzo Cię kocham i jak bardzo mi na Tobie zależy, wszystkiego mogę się wyrzec, ale takiej żony, jaką Ty jesteś, a jesteś dla mnie jedyną, którą kocham ponad wszystko. Tak bardzo bym chciał być już przy tobie i razem z Tobą dzielić Twoe smutki i zmartwienia, a w innych chwilach przytulić się do Twoich piersi, chciałbym mieć Cię ciągle przy sobie (...). Najmilsza moja, czym bliżej do końca karm, tym bardziej chce mi się do Ciebie (...). Teślknij za Tobą i za synem, którego pisa gnąć mieć z Tobą.”

12.

Nie mogę powiedzieć, że wyszłam za mąż z miłości. To nastolatki używają takich słów: miłość, kocham. Trudno, żeby kobieta mająca czterdziestkę na karku mówiła, że kocha. Po prostu cie szę się, że on istnieje, że jest, że wróci. Czekam na niego. Przywiązałam się, choć tak krótko byliśmy ze sobą. Martwię się, jak to będzie, kiedy wróci. To będzie najważniejszy moment. Muszę mieć dla niego pracę i w domu wszystko, co trzeba. Wszelkimi sposobami mu szę go przytrzymać, żeby nie wrócił do dawnego towarzystwa. Gotowa byłabym nawet wyjechać. Moje się zawiode, ale stawiam wszystko na jedną kartę. Chce dziecko. Dobrze. Ja też chcę. Chciałabym starą jestem jak na pierwszy poród, a przy moim zdrowiu, kto wie, czy nie musiałabym całej ciąży przeleżeć w łóżku. Jestem jednak zdecydowana. W końcu ja też zawsze pragnęłam własnego dziecka, a chowałam tylko egoizm. Zdaje sobie sprawę, że teraz kiedy siedzi i ja jestem jedną bliską osobą, z którą ma kontakt, to cała tęsknota, za wolnością na mnie wylewa. Próte, za wolnością na mnie wylewa. Pobował nawet wiersze mi pisać, ale powieiedziałam: żadnych wierszy. Tu nie ma co się rozkładać, tylko realistycznie patrzeć na wszystko.

W szafie leżą dwa materiały na spodnie, już rozmawiała na temat pracy dla niego. Niedawno malowała pokój, trochę nierówno wyszło. Jak, wróci pomachę jeszcze raz. Niech się nie czuje tu luźna jeszcze raz. Niech się udział w budowie, niech ma swój udział w życiu. Wzianiu ich wspólnego życia. Czy to się uda? To jej jedyna szansa, żeby znaleźć jeszcze w życiu trochę zwykłego ludzkiego szczęścia, żeby jej życie okazało się komuś choć trochę potrzebnym.

PS. Za dwa miesiące mają bohaterski raportaż opuścić zakład karny a ona udaje się na kolejną operację.

Wchodzę do minibaru, do mojej świętej gospody. Z głośnika płynie melodia tych dni: „White Christmas”. Rodaczka, Hania Banaszak, też ma miły głos, sanki, dzwonki, biały śnieg. Białe Boże Narodzenie. Przy porcji ryby zamyślam się...

Na dworze sypie zimowym puchem. Daleki śmiech, echo grzanie w zaspach. Bajeczny świat. Jak uwierzyć, że to nie sen? Mróz szczypie w uszy, upewnia mnie o realności świata.

Potem spaceruję pod girlandami wielobarwnych żarówek, w które spowity jest społeczeński kram. Rzućmy okiem na ruch w dziale monopolowym Peweksu. Nawet udaje mi się nawiązać telepatyczny kontakt z właścicielką aniołkowanej główki — kasjerka przelicza błękitne rzygające papierków, przez szklaną taflę okna prześwytają odświętne uśmiechy. Ide, za mną wlecieł się melodia. „White Christmas”.

Nagle kątem oka dostrzegam stojącą nieopodal postać. Przeglądając się wzrokiem po lodowatej azybie... Nieziemską piękność! Patrzy na kruche bombki — podobnie jak ja oczami małej dziewczynki. Reszta przeczy niewinnemu spojrzeniu: modelka, która w przypływie kobiecego kaprysu porzuciła wystawową scenę.

Kiedy jestem pewien, że znajduję się już poza zasięgiem magicznego oddziaływania — odwracam głowę. Przy sklepie z ozdobami choinkowymi jakiś podchmieleń gość z lichym przewiewem w rękę krąży wokół nieznajomej, przypiera ją do muru, na koniec demonstracyjnie kłeka na oba kolana. Widowisko śmieszy mnie, ale nie budzi większego zainteresowania, odchodzę.

Po chwili jednak dogania mnie tupot nóg. Przy staje.

— Najmocniej przepraszam, czy mógłby mi pan wysłuchać przysługę? — spod staranne go maki.

— Proszę uwolnić mnie od tego człowieka! Za plecami wystraszonej kobiety pojawia się jak cień natarczywy mężczyzna. Ma niezłe w ozubie, ledwo trzyma się na nogach.

— Oddam za pół darmo — proponuje, starając się zachować równowagę przy pomocy mocno sfatygowanej choinki.

— Słyszal pan, drogi panie? — niechętnie spełniam prośbę nieznajomej, bo, unikam cudzych kłopotów, dość mam własnych.

— Ta pani nie życzy sobie pańskiego towarzystwa.

— Przecież ja nie sprzedaję siebie, tylko ten u dany chojczek — bełkoce tamten. — Grosz mi się skończył. Przysięgam, wypiję zdrowie szanownych państwa...

— Co za tupet, zaczepiać na ulicy porządną ludzi — nieznajoma najwyraźniej odzyskuje pewność siebie.

Staram się załagodzić incydent.

— Niech już pan lepiej zaniesie choinkę do domu, żona na pewno się ucieszy.

— Błagam pana, chodźmy stąd — słowa i rzedające kłębi pary płyną z ust nieznajomej, trafiają w moje serce.

— W porządku odprowadzę panią — ujmuję jej łokcie, pozostawiając w tyle mamroczącego sprzedawcę.

— Proszę się tylko nie odwracać, bo nigdy nie zdołam go zgubić — poucza mnie nieznajoma.

— W sam raz klient dla obyczajówki. Wódcy się taki jak beański ples. Kto wie, może go-tów zamordować człowieka dla złotówki.

— * —

Marzę rozpęsłarty na białym polu — pościel pachnie świeżością i krochmalem. Omijają mnie platynowe kosmyki, anielskie włosy... Bezwstydnie przechadzam się wzrokiem po atlasowych kształtach. Rogate piersi sterczą wyniosłe, są jak ręce wyciągnięte w błagalnym geście ku niebu — proszą o miłość. Płaski brzuch, wzgórek Wenery...

— Dobrze ci było, kochany? — Sylwia doprasza się pochwały.

— Jak jasna cholera! — rzucam hardo, żeby nie wyjść na mięczaka. Szybko jednak dochodzę do wniosku, że naprawdę należy jej się uznanie.

— Dobra jesteś.

— W tych sprawach nie warto się oszczędzać. Zresztą... obroniłeś mnie przed tą pijawką z ull cy...

— Należała ci się nagroda.

— Przyznaję, była wyjątkowo szczerą. Nigdy nie przeżywałem czegoś podobnego. Ech, dzie wczyno, masz w sobie ogień!

— Przesada. To prawie zimny ogień, sztuczny.

— Dobrze sobie! W życiu nie byłem lepiej ob-służony.

— Nie znoszę amatorszczyzny.

— Pewnie, gruntowny profesjonalizm zawsze był w cenie.

— Miłość warta jest prawdziwej sztuki, rzemiosło — to za mało.

— Mhm — przytakuję i mocniej przygarniam do siebie głąbą nagosć.

— Mam nadzieję, że donikąd się nie spieszysz?

— Sylwia pyta jakby w obawie, że straci zaję-cia dla swoich rąk, które przemierzają moje ciało.

— Skądże — chętnie odpowiadam — Czy wy-glądam na faceta, który wyskoczył na chwilę z domu po papierosa?

— Jesteś żonaty? O, przepraszam! Nie mam zwykłego dopływu do o cokolwiek, tak mi się jakoś wyrwało.

— Nie szkodzi — skwapliwie komentuję sprawę, bo również dla siebie szukam usprawiedliwienia.

— Znowu pokłóciłem się ze sobą, nie pierwszy raz.

— Czyżbyś był aż tak swarliwy?

— Tego nie powiedziałem. Ale jej dużo nie trzeba. Wleć spakowała walizki i wyjechała przed świętami do rodziny. Oczywiście dzieci zabrała ze sobą.

— Dzieci? Hm, nie należysz do próżniaków.

— Córkę i syn.

— Precyzyjna robota.

— Te akurat lubię.

— Zauważyłam.

— Przy twojej klasie chyba nie brak ci adoratorów?

— Tego nie mówię. Ale pozostajmy przy nas, o'key?

Ręka Sylwii zjeżdża w dół, cicho jak na san-kach.

— O jaki śmieszny kurzyk w twoim pepku!

Włosy Sylwii zamiatają okolice brzucha. Jej ręce: delikatne, czule, przebiegłe — torują drogę śmiałym pocałunkom. Czuję się, jak pod wpływem miękkiej wędrowki warg i języka unoszę się w powietrze.

czach mającą mi kontury purpurowych obłoków. Nade mną — szczęśliwa gwiazda; po chwili szybuje w dół lekko jak zeppelin, aby spełnić się niewypowiedziane życzenie. Dwie zwinne jak wie-wiórki dionie buszują w gęstwinie mojego torsu, falując nutką słodkawego zapachu.

— Patrzę na twoje piersi: kędzierzawa szczecin-ka rośnie najwyraźniej według jakiegoś tajemni-czego schematu, jakby pod wpływem magnetycz-nych sił. A może to sprawa biopłodu? Wyzna-czone w sposób niepowtarzalny pola, autoportret sporządzony bez udziału świadomości.

— Też masz pomysły! W życiu nie przyszło mi to do głowy.

— Byłam piątkową uczennicą, co ty myślisz?!

— Nie pretenduję wprawdzie do roli egzami-natora, ale u mnie też masz najwyższą notę.

Świat wiruje jak karuzela, znowu jestem górą. Jestem panem siebie. Po latach leków i zahamo-wań — wyzwolenie, wolno mi wszystko, co ty-lko chcę, a pragnę wszystkiego. I tylko ta jedna myśl nie daje mi spokoju: „Kim jest ta mała, jak wygląda jej codzienne życie, i co się stało, że bez wieczoru ceremoniału przysparzała mi te go wieczoru, mnie — spragnionego kobiecości, niemal żebraka — i oddała całe swoje bogactwo? Zwalniam rytm oddechu i zdejmuję z postania białe żdźbło.

— Popatrz, jak się kokosimy! Piórko...

Wyrznięte pewnie z poduszki.

— Eee, tam — Sylwia odbiera mi puszek, śli-

MAGIA SZTUCZNYCH OGNI

Roman Wojciechowski

ni go i przylepia do swego ramienia. — Mylisz się, kochany, to z radości rosną mi skrzydła...

W ekstazy wesołości przywieramy do sie-bie blisko, jesteśmy tak bardzo szczęśliwi...

Płomień świecy wydaje ostatnie tchnienie, knot dopala się. W pokoju nastaje ciemność. Nie jest to jednak nieprzenikniona otchłań. W ramie ok-na pulsuje reklamowy neon, lśnią lampiony, sy-pie śnieg. Merry, Merry, Christmas!

Leżymy obok siebie; daję głowę, że Sylwia my-śli o tym samym. Bliscy są teraz od nas daleko. A my, nieznani sobie, celebруем wspólne świę-to. I tylko to się liczy. A trzeba się uwijać, bo to przecież najkrótszy dzień w roku. Jak każę trady-cja — wybaczymy sobie w myślach wszystkie na-sze przewinienia, nawet grzechy. Z ufnością spo-gładamy w przyszłość. Wesołych Świąt!

— Raz w roku... potrzebny jest taki dzień — pierwsza po dłuższej przerwie odzywa się Syl-wia — żeby zastanowić się nad sobą. — Wiem, że podobnie jak ja, dokonuje teraz w myślach ważnych obrachunków, być może snuje plany...

Sylwia przyciąga moją głowę do pełnych piersi, z zapalem czochra moje włosy, otwiera się prze-dę mną. Pocałunek po pocałunku. Ciało Sylwii nie ma dla mnie żadnych tajemnic, odwiedzam każdy zakątek. Wiem — jestem szalony. Nigdy nie przekraczałem pewnych granic. Dlaczego? Może mroził mnie chłód... Teraz czuję dopingują-cy żar: parzy słodka gębina, owiewa oddech gorący jak srocco. Nie więc dziwnego, że bu-dzi się we mnie człowiek, który pod wieloma względami tkwił w letargu. Grzbietem goni dreszcz zadowolenia, jestem cały mekkością, twar-dą i nieustępliwą, gotową do zdobywania naj-wyższych szczytów. Sylwia nuci kobiecą pieśń rozkoszy. Już nie jesteśmy sami tego wieczoru, jesteśmy podwójną jednością. Za oknem cią-głe prósy śnieg. Dalekie dzwonki śną. My wtule-ni. „Silent Night”.

— Muszę ci się lepiej przyjrzeć — ręka Sylwii szuka na oślepie przełącznika lampki nocnej, wresz-cie znajduje go.

— Nie warto, nie specjalnego — mruczę.

— Od dłuższej chwili próbuję zgadnąć, kim jesteś.

— Przeciętny Jan Kowalski, może Nowak, Ty-siące takich...

— Nieprawda, nie nabierzesz mnie. Mam no-sa, dobrze wiem. Hm, może jesteś jakimś dyre-ktorem, może wiceministrem?

— Nie z tych rzeczy — odpowiadam z satys-fakcją. — Cenię sobie wolny zawód.

— Jasne, to rozumiałe.

— Przywykłem, do życia w cieniu, incognito.

— Hm, nawet nie masz pojęcia, jak wiele mo-żna się dowiedzieć o mężczyźnie ze sposobu, w jaki sposób składa ubranie... No, no!

— Intrygujesz mnie. Twoje obserwacje, spe-cyficzny punkt widzenia, a teraz to wrozenie z garderoby... Taak, marynarkę, koszulę i krawat powiesiłem na krześle dość starannie. Gorzej z resztą.

— Wobec tego test wypada znakomicie. Lu-bisz ład i porządek. Ale w okolicznościach wy-magających polotu potrafisz cisnąć wszystko w dyabły i wzniesić się ponad drobnomieszczańską małość. Czyż nie tak?

— Uparł się, żeby mnie podnosić na duchu?

— Wcale nie. Ja tylko znam się na ludziach.

— Psychologia?

— Porzucana na trzecim roku. Trochę teorii na uniwerku, oraktyka w innej szkole, w szkole życia.

— Nie dokończyłaś studiów?

— Cały czas studiuję; gatunek homo sapiens.

— Teraz rozumie.

— Obawiam się, że właśnie nie nie rozumiesz.

Normalni ludzie mają dom, rodzinę.

— Dom masz. Nawet wspaniale urządzone.

— Blichtr. Czuję się bezdomna i nieszczęsna.

— Chciałbym być dla ciebie kimś takim, kto odganiałby wszystkich natrętów...

— Nie wiesz, co mówisz. A swoją drogą — ty też przypadłeś mi do gustu. Hm, wcale nie mu-simy się rozstawać. Gdybym była twoją żoną, wiedziałabym, jak ci dogodzić.

— Masz praktykę? Byłaś mężatką?

— Niestety, nie byłam. Ale wiem o pożytku więcej niż niejedna żona. Lubie mężczyzn. Mój

Sceny miłosne w literaturze pięknej

był starszy ode mnie dobre parę lat. Ja — smar-kata licealistka, on — początkujący dziennikarz, literat. Imponował mi. I tak się to zaczęło. Głu-pia gęś, ubzduralam sobie, że ta ścieżka zapro-wadzi mnie na karty literatury. Mówił do mnie: moja mała muzu. Tak, wierzyłam, że jestem mu potrzebna ze względu na moją powstającą wieko-pomną dzieła. Szczególnie lata! Ale to cię pewnie nie interesuje?

— Wprost przeciwnie, chętnie posłucham.

— Mielłmy jumbo-jetem polecieć w podróż przedślubną, dookoła świata. Co do samolotu — skończyło się na fotelu ginekologicznym. Osta-tecznie pegaz okazał się najwykleszszym ogie-rem. Taki był ten mój pierwszy... Nigdy więcej już się nie zobaczyliśmy. I tylko po kilku latach wpadła mi w ręce jego książka. Kupiłam ją so-bie i przeczytałam jednym tchem, jednej nocy. Dotrzymał słowa — odnalazłam siebie w osobie głównej bohaterki, kobiety fatalnej, prostytut-ki. Do dziś zachodzę w głowę... Skurczybyk, jakim sposobem udało mu się przewidzieć, że kiedyś do tego dojdę?

Powiadają, że święty Mikołaj jest patronem dzieci, literatów, panien bez posadu. Ha, gdy-bym ja dostała na gwiazdkę odpowiedniego mę-zczyznę, byłby u mnie królem. Nie musiałby na-wet pracować. Z samych procentów żylibyśmy sobie zasobnie i cicho aż po starość. Posag jest, wystarczający. Wiesz, ty byś mi się nadał!...

Odwracam ku niej twarz, pełen niewyobraźne-go zdumienia. Ona nie zmienia tonu.

— Niczego by ci nie brakowało. Kupilibyśmy sobie nowe, większe mieszkanie. Byłbyś sobie pi-sał do woli.

Nie wytrzymuję.

— Tyś chyba upadła na głowę! Piękna propo-zycja, nie ma co! Flasko pewne, nawet gdybym zechciał z niej skorzystać, przecież jestem żona ty Ale masz rację, procenty w życiu się przyda-ją. Bo literatura to też kawał wrednej dziwki. Nikt z niej nie wyżyje. Chyba że... handlując na czarnym ryn-ku cudzymi książkami.

— Znajdę ci dobrych wydawców... Z żoną weź mieszk. rozwód, podzielcie się dziećmi.

— Tego już za wiele! — siadam na krawędzi łóżka — I co ty sobie wogóle wyobrazasz? Zerknałem cię, bo oboju nam było smutno. Wic-cej jednak sobie nie obiecuj, jasne? Uroczy wie-cór wigilijny!

— Przecież mówiłeś, że z nikim nie było ci tak dobrze...

Zwlekam się z łóżka i podchodzę do krzesła, zakładam kostkę, potem krawat...

— Możesz przyjść do mnie, kiedy tylko ze-chcesz, nawet tak jak stoisz, bez niczego. Przyj-mię cię z otwartymi ramionami.

Wiem, że jeszcze mogę zranić Sylwię.

— Nie przyniosło ci zysku dzisiejsze wyjście na miasto.

— Głupi jesteś jak but, który teraz wciąż-gasz. Powiedziałam ci przecież, że już z tym skończyłam, miesiąc temu, na dobre.

— Jeden miesiąc. Piękna kwarantanna!

„To będzie ostatni cios” — myślę i sięgam do portfela.

— Jaką masz taryfę? — szperam w przegród-kach. Już nawet nie jestem zły. Bawi mnie ta cała maskarada.

— Zapewne w obcej walucie?

I nagle wszystko, co trzymam w rękach — wylatuje w powietrze. Nade mną zatrzymuje się w pół drogi podniesiona ręka.

— Ach, jakie mam ochotę pieprzyć cię w pysk, lajdaku! Tamci przynajmniej nie robili mi złudzeń. A ty? Coś ty ze mną zrobił? A tak, żebyś wiedział, będę miała dzieci, będę najwspa-nialszą żoną!

Drżąca ręka, pierwotnie gotowa do zadania cio-su, opada bezzilnie.

— Nie wieszysz?

— Pewnie, że nie — już nie obawiam się na-wet rękoczynów. — Ty nie potrafisz kochać. I miałaś rację — jesteś jak zimny ogień, nikt się naprawdę przy tobie nie ogrzeje. Żaloszna ozdoba choinkowa.

A więc wreszcie ugodziłem celnie. Patrzę: prze-de mną ona, ostateczna — okonana — ręce opusz-czone wzdłuż tułowia jak dwa puste rękawy, zagryziona warga. Stoimy naprzeciwko siebie, jak wrogowie. Chwila rozejmu? Nie, oboje jesteśmy pokonani. Policzkami dziewczyny płyną strużki łez.

— Ja naprawdę nie jestem zepsuta — składa głowę na moje piersi i przywiera ciasno jak nie-winnie skrzywdzone dziecko. — Błagam, nie do-kuczaj mi.

— W porządku, jesteśmy kwita — robię obrót na pięcie, wyzwalając się z uścisku.

— Nie odchodź jeszcze — Sylwia podnosi z podłogi mój pusty portfel. — Musisz?

— Już niczego nie muszę.

— Chcesz, wypijemy na zgodę? — Sylwia wy-ciera nos grzbietem dłoni.

— Głupio, ciągle jeszcze nie wiem, jak masz na imię.

— Bo nie piliśmy bratersztaftu. Niektóre kon-venanse bywają sympatyczne.

— Nigdy nie jest za późno.

— Wprost przeciwnie. Teraz możemy spełnić ten toast jedynie w odwrotnej kolejności. Wychy-limy po kieliszku i przejdziemy na „pan” i „pani”.

Potem każde z nas pójdzie swoją drogą.

— Hm, nie jest źle, skoro potrafisz żartować. Ślądymy jeszcze raz do stołu, niech będzie tak jak na początku. Ostateczną decyzję odłożę na inną godzinę.

Patrzę na Sylwię — jest naprawdę śliczna. Po-garda, obojętność, współczucie — cieniują się wrażenia. Odradza się apetyt.

— Niech będzie.

Napelniam kieliszki czerwonym winem. Sylwia wychyla się z krzesła i obraca gałkę radiodod-biornika — kilka zmienny — świstów i do na-szych uszu dociera powracający temat: „I'm dre-aming of a white Christmas...”

Tekst ten został wyróżniony w konkursie literac-kim im. Jana Papugi na opowiadanie o miłości zor-ganizowanym przez Oddział ZLP i Wydawnictwo „Glob” w Szczecinie.



W ostatnim czasie wiele mówi się o potrzebie unowocześnienia procesu dydaktycznego. Widocznym tego objawem są liczne, na łamach prasy, radia i telewizji toczące dyskusje, poświęcone problemom komputeryzacji szkół w Polsce.

Inicjatywa wielce chwalebna, wnosząca niewątpliwie świeże tchnienie w „skostniałe struktury dydaktyczne” na szczeblu szkoły. Inicjatywa, rzekło się chwalebna, ale trochę jakby nie na nasze czasy. No bo, z jednej strony wiadomo, komputer jest potrzebny, ale z drugiej — trudności tzw. obiektywne, a więc — brak pieniędzy, sal i fachowej obsługi owych urządzeń na miarę XXI wieku.

Nie przestając więc chwalić wysocy postępowych głosów licznych dyskusantów proponujemy powrót ze świata marzeń w szarą rzeczywistość.

A tu dopiero jest nad czym głowy lać!

Wszyscy wiedzą, że jak świat światem, a szkoła szkołą podstawowym środkiem dydaktycznym był zawsze podręcznik. Był i nadal jest. O tym nie trzeba nikogo przekonywać. Rozważania na temat tego, czy to dobrze, czy źle pozostawiamy na razie na uboczu.

Każdemu, w miarę krytycznemu obserwatorowi rzeczywistości szkolnej solą w oku stają próby zastawiania wspólnych zdobywców naszej cywilizacji, z tym, co można by nazwać głębokim anachronizmem dydaktycznym. Mamy tu na myśli „najnowsze” podręczniki do nauki języka polskiego dla klasy czwartej, piątej i szóstej szkoły podstawowej. Nie ubliżając w niczym autorce, pani Marii Nagajowej, i odstępając wyjątkowo od zasady, że dzieło określa twórca,

1. Można mówić o trzech autorach tomiku „Odwieczne” Mieczysława J. Warszawskiego. Najpierw jest się pod wielkim wrażeniem słów pisanych przez Jana Muszyńskiego. To nie jest rutynowy „wstęp”, to raczej samodzielny utwór, dywagacje inspirowane obrazami Gordona (silnie, jak się zda je), i wierszami Warszawskiego. Szokuje czytelnika analiza życia oraz sprowadzenie damsko-męskich układów do płaskiego, trywialnego spółkowania, prostytucji, samoudręczenia, z kobietą w roli demona i czarownika.

2. Nową przysługą jest zetknięcie się z biologizmem grafik Andrzeja Gordona, które zawsze robią niesamowite wrażenie. Jest w tych rysunkach głów nie kobieta, czasem krzyż, a poza tym wszystko: piękno i brzydota, niebo i piekło, miłość i występki. Życie — normalne i do zaakceptowania, a jednak

Wspieranie wartościowych i pożytecznych inicjatyw wydawniczych lokalnych towarzystw kulturalnych, publikacje opracowań dokumentujących historię i współczesność regionu gorzowskiego, popularyzacja ludzi z okresu walk o polskość tych ziem, a także pionierskich lat powojennych — oto główne zamierzenia wydawnicze Gorzowskiego Towarzystwa Kultury w drugiej — obok „Biblioteki Literackiej” — serii „Biblioteka Regionalna” GTK.

„Biblioteka Literacka” może pochwalić się już niemałym dorobkiem — do końca lipca br. ukazało się 21 pozycji, łącznie z Gorzowskim Almanachem Poetyckim pt. „Nauka tańca”, będącym prezentacją 21 autorów nieprofesjonalnych województwa gorzowskiego. „Biblioteka Regionalna” dość długo czekała na „rozruch”.

Pierwsze wydawnictwo z tej serii, aczkolwiek sygnowane rokiem 1985, trafiło na rynek księgarski przed paroma tygodniami. Opracowanie pt. „Międzychódzkie Towarzystwo Wioślarzy 1928” dra Ryszarda Kobendzy, pracownika na ukowego gorzowskiego Wydziału Zamiejscowego AWF w Poznaniu, otwiera cykl powstały w wyniku pracy badawczej gorzowskich autorów.



We wrześniu 1969 r. na wystawie „Krytycy prezentują artystów”, zielono górzanie mieli okazję zetknąć się po raz pierwszy z dziełami Kajetana Sosnowskiego. Wtedy wystawił „Polityki”, o których prof. dr Julian Starzyński pisał: „znalazł artysta adekwatny wyraz dla problematyki z zakresu naukowo pojmowanej optyki, łącząc ją w od

Uczymy się na błędach

pragniemy wygłosić kilka uwag krytycznych pod ich adresem.

Już pierwszy, pobieżny nawet kontakt z owymi „podręcznikami do kształcenia literackiego i kulturalnego” stwarza wrażenie potężnego chaosu. Nie ufając sobie i wierząc w słuszność starej prawdy, że na początku był chaos, przyglądamy się wspomnianemu kompendium o raz wtóry. Ale, niestety, z chaosu nie się nie wylania, a pierwotne odczucie jakby się pogłębia. Ot, choćby podręcznik dla klasy czwartej! Już sam spis treści budzi pewne wątpliwości. Mamy tu na przykład rozdział szósty, zatytułowany „Najwięksi polscy poeci”, a w nim: wiersze Mickiewicza, Słowackiego, Iłakowiczówny. Szczerze podzielamy uznanie, jakim autorka darzy wyżej wymienionych, ale tu jednak rodzi się pytanie. Dlaczego, na przykład wspaniałą skądinąd Iłakowiczównę zalicza się do grona największych polskich poetów, a Kochańskiego już nie? Pozostawiając ten dylemat nie rozwiązany pragniemy jednak zasygnalizować potrzebę bardziej przemyślanych wypowiedzi, szczególnie w podręcznikach dla uczniów szkół podstawowych. Pamiętajmy o tym, że dziecko w tym wieku, bezkrytycznie jeszcze wierzy w słowo pisane, a tego typu nieudolne klasyfikacje mogą głęboko zapasać w jego pamięć, groząc już na wstępie edukacji polonistycznej wypaczeniem wyobrażeń o naszej literaturze.

Nie zrażeni jednak tym pierwszym potknięciem dalej przerycamy karty podręcznika. I tu dopiero rozbija się dydaktyczna puszcza Pandory. Najpiękniejsze nawet utwory literackie, czy to proza, czy wierszem są pokądkowane niczym mięso na kotlety. Pod każdym tekstem niezmiennie pojawiają się pytania o elementy świata przedstawionego w utworze, o strukturę formalną lub warstwę słowną tekstu. Co więcej, owe ćwiczenia tchną patnią czasu i przypo-

minają niekiedy mierne pod względem dydaktycznym podręczniki do nauki języków obcych.

Te same grzechy przypisać można pozostałym dwóm podręcznikom autorstwa pani Nagajowej. Schemat odbioru jest ten sam. Autorka nie uwzględnia faktycznego rozwoju struktur poznawczych uczniów. O tym, że kolejne podręczniki przeznaczone są dla uczniów bardziej zaawansowanych, przekonują jedynie za mieszczane w nich coraz to nowe, wynikające z programu nauczania definicje.

Sądząc po powtarzającym się schemacie analizy utworu, mniemać by można, że podręczniki, o których mowa, stają się pewien cykl. Ale i to, jak się okazuje, jest wrażeniem złudnym. I tak, na przykład, w podręczniku dla klasy piątej autorka podaje definicję postaci w utworze, a już w klasie szóstej zadaje dzieciom pytania typu „Do czego zachęca autorka wiersza?” lub „Do kogo i po co zwraca się poeta w wierszu?”

Współczuć tylko należy nauczycielom, którzy zmuszeni będą objaśniać te zawłoki co bardziej wnikliwym wychowankom.

Co więcej, podręcznik dla klasy piątej zawiera jeszcze jeden wielki zaskakujący twór, którym autorka z całą bezwzględnością, nie oglądając się na wszechobecną tradycję, niszczy nasze dotychczasowe wyobrażenia o świecie kultury. Owo monstrum dziwaczne to rozdział trzeci. Dowiadujemy się z niego, że w „Kregu kultury”, bo taki jest tytuł rozdziału, mieści się malarstwo, grafika, teatr, film i muzyka. A literatura? Otóż o literaturze i jej twórcach nie ma tu ani słowa. Domyślać się tylko możemy, że autorka postanowiła do końca iście futurystycznego rozrachunku z tradycją kulturową. Wydaje się jednak, że podręcznik szkolny nie jest

stosownym oparciem dla tego typu praktyk.

Swoiste apogeum czarnego humoru pani Nagajowej stanowi tytuł podręcznika dla klasy szóstej — „Polubić czy tań?”

Przyjrzyjmy się cniociażby jak beztroskiej obróbce poddaje się tu wspaniałą Mickiewiczowską balladę „Świtezianka”. I tak, zamiast starać się odczuć niepowtarzalne piękno tego „pierwioska romantyzmu”, uczniowie wyszukują fragmenty opowiadania, części dialogowe i narracyjne, tudzież środki językowe występujące w utworze. Ani jedno polecenie nie zachęca do zastanowienia się nad sensem ballady, własnymi odczuciami po jej przeczytaniu czy niepowtarzalnym klimatem poetyckim utworu.

I jak tu można polubić czytanie? Ogólnie stwierdzić należy, że tym, co budzi największy sprzeciw, jest nauczanie dzieciom całkowitej bierności w kontakcie z utworem literackim. Owszem, od czasu do czasu proponuje się uczniom zorganizowanie w klasie inscenizacji omawianej lektury. Jest to jednak, niestety, jedyna, dopuszczana przez autorkę forma twórczej aktywności dzieci, która zbyt często powtarzana może się w końcu okazać nudna.

Z pewnością nie cieszy fakt, że w proponowanych przez podręcznik rozwiązaniach metodycznych polonista przypomina profesora Bładaczkę, a rola ucznia sprowadza się do udzielania odpowiedzi na słynne Gombrowiczowskie pytanie „Dlaczego Słowacki wielkim poetą był?”

Pani Nagajowa nie chce chyba zrozumieć faktu, że człowiek oprócz potrzeb recepcji odczuwa także konieczność twórczej ekspresji. Posłannictwem szkoły jest potrzeba, by jak najszybciej dostrzec i rozwijać. Niestety, podręczniki, o których mowa, realizację tego zadania uniemożliwiają.

Rzuca się również w oczy to, że za-

mieszczono pod tekstami pytania umożliwiające jedynie typowy, dawno już przez postępowe dydaktyki zarzucony, rozbiór analityczny utworu. Co gorsza, między tak stormulowanymi poleceniami nie ma z reguły żadnego związku. Proponowany schemat pracy nad lekturą szkolną uniemożliwia uczniom zrozumienie ogólnego sensu utworu i odczucie tkwiących w nim wartości estetycznych.

Narzuca się wniosek, że w taki sam sposób autorka mogłaby analizować pismo urzędowe czy rachunek telefoniczny.

Postulowane przez panią Nagajową rozwiązania metodyczne w ogóle nie uwzględniają postulatu integrowania międzyprzedmiotowych treści nauczania. Nie dostrzega się tu w ogóle związku między, na przykład, poezją a malarstwem, muzyką czy rzeźbą.

I jeszcze jedno. Przyjęty w omawianych podręcznikach sposób pracy nad lekturą, sposób, który jak powiedzieliśmy, zaciera sens i wartości utworu, uniemożliwia także realizację na lekcjach języka polskiego jakichkolwiek celów nauczania.

Nie trzeba być nestorem dydaktyki, aby stwierdzić, że proponowane przez autorkę podręczników traktowanie utworu literackiego zniechęca uczniów do zdobywania wiedzy i doświadczenia polonistycznego, a co gorsza, stępi ich wrażliwość na piękno sztuki, której tworzywem jest słowo.

Chyląc czoła przed cennym skądinąd dorobkiem naukowym Marii Nagajowej dochodzimy jednak do wniosku, że pisanie podręczników nie powinno stanowić monopolu jednej tylko osoby. Być może wzajemna konsultacja i wymiana myśli pozwoliłaby uniknąć wytkniętych tu nieporozumień. No cóż, uczymy się na błędach...

KATARZYNA NARKIEWICZ

Demoniczna kobieta i jej bardowie

nienaturalne, rozpustne. Na granicy obrzydliwości, lecz — wspaniałe.

3. Twórca liryków, Mieczysław J. Warszawski, pozostaje pod wyraźnym wpływem i urokiem wizualnej sztuki Gordona, ale nie poddaje się jej całkowicie. To nie jest automatyczne przejęcie motywów i filozofii, ale przyjaźnielski uścisk dłoni — partnerska i samodzielną transpozycję pewnych tematów. Poeta buduje osobistą wizję miłości i kobiecy, czerpiąc z rysunków atmosferę brutalności, żywiołując się ich naturalizmem, akcentując ciemną stronę miłości. Ale i w tym poetyckim przypadku — kobieta pozostała de-

moniczna: ona zmieniła świat kusząc Adama:

„Wszystko, co miało się dzieć,
Stało się tak, a nie inaczej.”

Nie tylko inspirowała mężczyznę, ale też była motorem zdarzeń. Takich jest wiele innych kobiet z pozostałych wierszy, kobiet nie nazwanych nigdy wprost. Inna jest tylko Pieta — dzwiga swój krzyż boleści, ale na jej istotę składają się pierwiastki miłości bliźniego, wstępu do ciała i — umysł próbujący treści napędzić bezsens świata.

Poeta widzi nie pojedyncze egzemplarze kobiecych diabłów, ale — poza Pie-

tą — całość gatunku. Dlatego rozszechnięcie kobiecości na pożądanie i wstydlivost jest prawdopodobnie próbą zrozumienia tego, co fascynuje i każe ciągle do owego tematu powracać. Ale kobieta, ów „puch marny i wietrzna istota”, pozostaje wieloznaczna: jest picią, naturą, namiętnością, a zarazem mądrością, dyplomacją, myśliwym w pogoni za mężczyzną:

„Pozostaje tylko ta świadomość pości
gu podczas dnia. Podczas nocy wydep-
tany gest polowań”. Świat ma swoje światło, jest nim kobieta-samica, z namiętnością „w granicach swej skóry”, jak chce Gordon, „kobieta rozogniona”, jak chce Warszawski, gdy „drogocenna na-

gość intymnie szeleści o skórę”. I w tym momencie bledra z płócien Rubensa, wizualne orgie i orientalne rozpusty, Amor i markiz de Sade, kobieta, jej pieć — przywoływane w kolejnych wierszach — są częścią odwiecznego mitu, jeszcze jednym głosem w wielkim męskim chórze o namiętności i rozkoszy. Warszawski widzi w tym naturalną, bo odwieczną kolej rzeczy, usankcjonowaną „kolejką” po odpuszczeniu grzechów „ku ucieczce przynależnych nam ciał, która nie zawsze bywa uciechą dusz”.

MAŁGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

Mieczysław J. Warszawski. *Odwieczne*. Wydanie bibliofilskie w ilości 100 egzemplarzy. Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. 1986. Tomik ilustrowany grafikami Andrzeja Gordona, reprodukcje grafik Piotra Barańskiego, autor wstępu Jan Muszyński.

Gorzowskie regionalia

Książka powstała z inicjatywy Międzychódzkiego Towarzystwa Kulturalnego. Prezentuje powstanie i rozwój jednego z najaktywniejszych klubów w okresie międzywojennym. A kluby sportowe — jak pisze autor, „funkcjonujące w pasie przygranicznym, były ostoją polskości, miejscem chronienia wartości narodowych”. Skupiały w swoich szeregach zarówno ludzi napływowych, jak i miejscową inteligencję, co sprzyjało integracji kulturalnej, zwłaszcza w dziedzinie kultury językowej, co na terenach pod zaborem pruskim miało szczególne znaczenie.

Do MTW należał również Niemcewicz, pragnący dobrego współżycia z Polakami.

Na około 30 stronach tekstu, wzbogaconego dokumentalnymi zdjęciami, poznajemy genezę i działalność MTW w okresie 10 lat, opracowaną przede wszystkim w oparciu o relacje i materiał ikonograficzny byłych członków Towarzystwa, z których wielu mieszka do-

dziś w Międzychodzie. Publikacja dra R. Kobendzy uwzględnia również istniejące materiały źródłowe, ale jako element pomocniczy. Zainteresuje ona nie tylko miłośników sportów wodnych, ale i tych, którzy szukają korzeni teraźniejszości.

Odmienny charakter ma wydana przed paroma tygodniami druga publikacja z tej serii pt. „Strzelce Krajeńskie i okolice” Bogdana Kucharskiego. Podtytuł — przewodnik — określa zawartość tego opracowania, którego zasięg terytorialny obejmuje od północy — miejscowości Danków, Tuczno, Dobiegniew, Stare Osieczno, na wschód — rzekę Drawę, do zachodu — miejscowości Górki Noteckie, Santoczno, Danków i od południa — rzekę Noteć. Część ogólna omawia środowisko geograficzne, florę i faunę oraz dzieje regionu strzelecko-krajeńskiego. Część szczegółowa zawiera informacje o Strzelcach Krajeńskich, które w tym roku obchodzą 700-lecie istnienia (geneza i do kładny czas powstania nie są znane, miało po raz pierwszy wymienione jest w 1286 r., ale, jak twierdzi Bogdan Ku-

charski — „powstało ono jednak niewątpliwie dużo wcześniej”.

Interesującym rozdziałem jest opis znanych szlaków pieszych w regionie strzelecko-krajeńskim, będącym chyba najciekawszym obszarem turystyczno-krajoznawczym północno-wschodniej części Ziemi Gorzowskiej.

Przewodnik zamykają informacje zawierające praktyczne wskazówki niezbędne dla turystów chcących skorzystać z noclegów, wyżywienia i komunikacji. Przewodnik wydany z inicjatywy Strzelecko-Krajeńskiego Towarzystwa Kultury przy pomocy Obywatelskiego Komitetu Obchodów 700-lecia m. Strzelce Krajeńskie i Gorzowskiego Towarzystwa Kultury.

(Przewodnik do nabycia tylko w placówkach turystycznych i kulturalnych tego regionu).

Obydwie publikacje mają ujednoliconą szatę graficzną (każda w innym kolorze), której autorką jest Romana Kaszycz art. plastyk z Barlinka. Zainteresowanych tą serią informujemy, że wkrótce ukaze się pokazanych rozmiarów (ponad 100 stron) opracowanie pt. „Józef Noji — sportowiec i patriota” pióra zna-

nego działacza kultury i regionalisty z Drezdenka, Franciszka Grasia. Książka ukaze się w nakładzie 5000 egz. przy wydanej pomocy finansowej Wydziału Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego, i na pewno zainteresuje miłośników sportu.

Za kilka tygodni dostępny będzie również informator o bibliotekach, zawierający opis i wykaz wszystkich placówek upowszechniających czytelnictwo w Gorzowskim. W druku są wspomnienia pionierów pt. „Wiosna na rumowisku” pod redakcją Zdzisława Linkowskiego. Jest to wybór nagrodzonych prac, nadesłanych na konkurs GTK, ogłoszony przed paru laty. W przygotowaniu także zbiór opowieści o ludziach zasłużonych dla Gorzowa, którzy odeszli już na zawsze.

ANNA MAKOWSKA-CIELEN

Dr Ryszard Kobendza „Międzychódzkie Towarzystwo Wioślarzy 1928” Biblioteka Regionalna GTK, Gorzów 1985 r., nakład 1500 egz., cena 80 zł.

Bogdan Kucharski „Strzelce Kraj. i okolice” Przewodnik 1986 „Bibl. Reg.” GTK Nakład 2000 egz. Cena 200 zł.

Kajetan Sosnowski

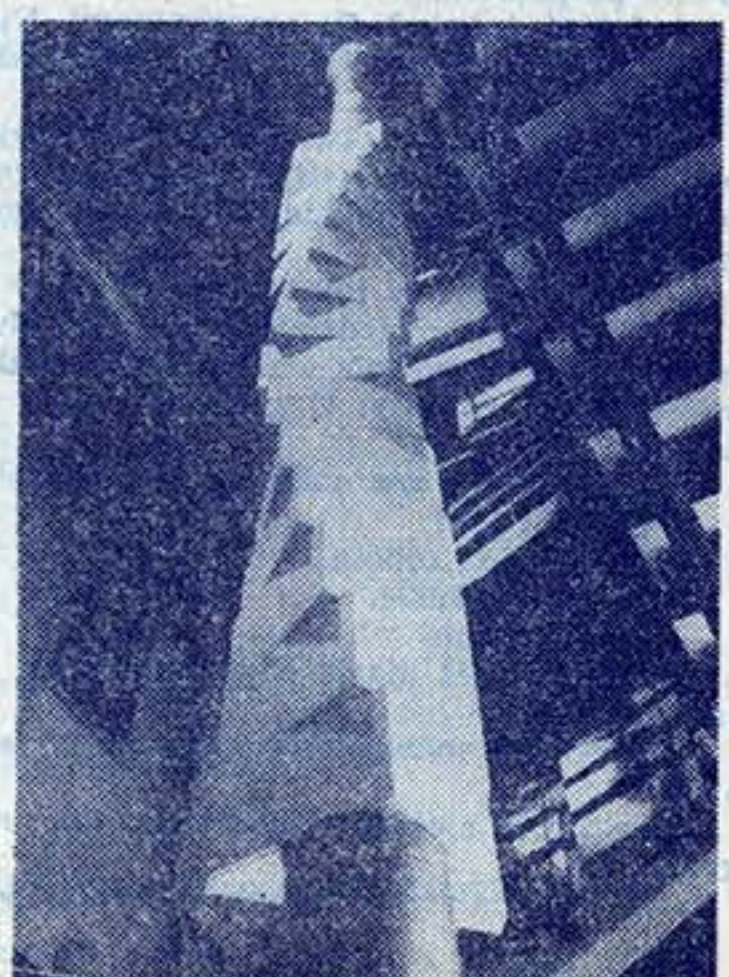
krytyczną syntezę ze sferą działania konceptualnego i emocjonalnego. K. Sosnowski uprawia malarstwo i zajmuje się kompozycją przestrzenną. U podstaw teoretycznych jego malarstwa leży idea współdziałania sztuki z nauką w odkrywaniu przed wyobraźnią ludzi nowych rejonów poznania i doznań estetycznych. Artysta często rozważa w swoich dziełach wartości koloru. Jego płaszczyzny regularne, niemal monotone, zestawione są według ukrytej skali harmonii barw, należąc do analizy przestrzeni, która odzyskuje swoją wartość fizyczną i konkretność poprzez wibrację

koloru — pisał Luigi Carluccio w „II Popolo”.

W Muzeum Ziemi Lubuskiej znajduje się „Wieża asymetryczna”, zaprezentowana w 1973 r. na „Złotym Gronie”. „Wieża” została zamontowana w 1976 r. w jednej z klatek schodowych muzeum. Składa się ona z wielu pod kątem wobec siebie ustawionych z matematyczną dokładnością białych brył geometrycznych. Montażowi „Wieży” towarzyszył z aparatem fotograficznym artysta fot. Czesław Łuniewicz, który prezentuje dokumentację tego faktu. Muzeum posiada i inne prace K. Sosnowskiego m.in. na wolnym powietrzu znajduje się „Tryptyk z oknem”.

Kajetan Sosnowski urodził się w Wilnie w 1913 r., obecnie mieszka w Warszawie. Zaraz po wyzwoleniu delegowa-

ny przez resort Kultury i Sztuki organizował w Łodzi szkolnictwo artystyczne, wraz z Henrykiem Tomaszewskim powołał łódzki oddział ZPAP. Był redaktorem artystycznym tygodnika „Kultura” i wraz z nim przeniósł się do Warszawy. W 1960 r. ONZ zaprosiła go do Genewy, gdzie uczestniczył w przebudowie Pałacu Narodów. Prace swoje wystawiał w Wuppertalu, Duesseldorfie, Essen, Stuttgarcie i wielu innych miastach RFN, a także we Włoszech. W 1965 r. uczestniczył w „Złotym Gronie”, w 1968 w plenerze łagowskim. Jego dzieła znajdują się w zbiorach państwowych i prywatnych w Polsce i za granicą.



W MAJU odbyły się w Gorzowie XVI już Konfrontacje Fotograficzne. Na omówienie w „Foto” jeszcze za wcześnie, a nieliczne publikacje w prasie traktowały imprezę raczej chłodno i jak przelotny deszcz. Zważywszy masowość rozmaitych imprez w tej dziedzinie, może to nie dziwić. W „kuluarach” natomiast mówiono, że ta ogólnopolska impreza dla amatorów i profesjonalistów upadła. A jak to wyglądało w oczach amatora? Myślę, iż te parę refleksji w oparciu o gorzowskie spotkania, mimo upływu czasu, nie będzie pozbawionych sensu.

Rdzeniem Konfrontacji był zawsze płon amatorskiego konkursu, zaczęły więc od młodych. Zwrócił moją uwagę ezoteryczny zestaw Andrzeja Biegowskiego „Podróż w krainę wyobraźni”. Wyobcowanie rzeczywistości z naturalnego dla nich otoczenia i zestawienie ich w sposób, zaskakujący, ale też zmieniający je w „metaforyczne rekwizyty” i zagadkowe zjawy — to przecież metoda surrealistów. Jednak wykorzystanie ją z pożytkiem dla ostatecznego efektu mogą tylko ludzie o specyficznej wyobraźni. Andrzej ma podobno 17 lat, a zapewne niejedną dojrzałą twórcą nie wstydziłby się takiego zestawu. I chociaż dobre fotografie mogą zdarzyć się raz każdemu amatorowi, nie sądzę by, otrzymawszy tak znaczne wyróżnienie (złoty medal Federacji Amatorskich Stowarzyszeń Fotograficznych w Polsce i I nagrodę) poczuł na laurach, jak to się często zdarza innym młodym. Pozostałe nagrodzone zestawy były również według mnie najciekawsze. Nie dostarczyły jednak choćby namiastki tego, co w sztuce chyba najistotniejsze, co wywołuje u odbiorcy doznania irracjonalne. Jak pisał p. Maria Golaszewska, „Sztuka jest wypełnieniem samotności przynależącej człowiekowi satysfakcją i radością; choćby trwała ona krótko, zdolna jest oświetlić życie, (...) daje odczuć, że poza sferą spraw oczywistych, naukowo sprawdzonych i wyliczanych istnieje świat inny — mroczny, niewyjaśniony, zachęcający do poszukiwań i odkryć”. Zakładam, że do tego właśnie dąży każdy amator. Lecz reszta ekspozycji stanowiła zaledwie materiał wyjściowy do pracy „Rozmycie” tematu złym skądowaniem, brak odważnej zwięzłości także przez nadmiar zdjęć — to częste błędy amatorów. To również cechy dyskwalifikujące szczególnie raport, będący w tym kontekście dokumentem. A zasługa w tym też organizatorów: warunkiem udziału w konkursie było nadesłanie zestawu minimum 10-zdjęciowego. Ponadto, amatorzy jakby bali się ujawnienia własnej autentyczności. Temat, gdzie występuje „złoty” jest zwykle bardziej fascynujący, więc traktowało o nim wiele prac. Za prezentowaną fotografią konceptualną była zaś powieleniem treści i formy od lat eksploatowanych przez autorów profesjonalnych, tyle że z innym efektem. Trudno byłoby jeszcze nie wspomnieć o jednym: kilkunastymetrowe różnice w „jednokowych” formatach to brak elementarnej staranności, a nawet, u autorki już nie debiutującej, dowód ignorancji odbiorców. Przerazenie budziły natomiast manieryczne ramy, ramki i rameczki, którymi jak sądzę autorzy usiłowali dowartościować swe dzieła.

W sumie — amatorzy nie pokazali nic nowego. Niektórzy twierdzą, że wy-czerpały się już możliwości kombinacji technicznej w fotografii, a wszelkie nowatorskie poczynania raczej odlegają od samej jej istoty. Dziś nasi młodzi

fascynują się obróbką laboratoryjną, zaś w świecie wykonują to maszyny. Skłonna byłabym wrócić za p. Jerzym Buszą, że przyszłość fotografii leży w filozofii twórczości. Jeśli tak, z tym więc kszą uwagę należałoby spojrzeć na sferę koncepcyjną fotografii, na jej zaplecze intelektualne. Któryś z jurorów stwierdził, że tegoroczna wystawa, choć nieco mniej liczna, była na wyższym poziomie. Jakże mierna musiała być poprzednia... Cieszy jednak, iż fotografia tradycyjna, piktorialna, znalazła się wśród ekspozycji, że są jeszcze młodzi, których pobudza nastroj krajobrazu i urok przedmiotów. Jakże uboga byłaby sztuka bez takich tematów.

Po cóż jednak lając wyłącznie amatorów? Stanę nawet w ich obronie, wszak

chcnie, trudne jednak do ogarnięcia poprzez samokształcenie. Póki co, dzisiejszy fotografik z legitymacją artysty jest więc z reguły samoukiem, którego talent oparty jest czasem na rzetelnej pracy nad samym sobą. Ciekawe też, że członkiem ZPAF może zostać fotoamator, który „wypowiada się przez fotografię” i coś wie o historii sztuki, a nie, choćby znakomity, fotograf np. reklamowy. Spójrzmy więc na artystów. Naród to niesforny, nieskłonny do podporządkowania się Ci autentyczni, odbierają rzeczywistość w inny niż ogół wymiarach, swym dziwactwem i innością narażają się na konflikty natury społecznej i zrozumiałe jest, że nawiązują kontakt tylko z grupą osób, której nie

stały się małe formaty w drewnianych ramach. Jeśli zaś chodzi o to, co zaprezentowali na Konfrontacjach profesjonalści, to wspomnę tylko, że Edward Hartwig po raz pierwszy pokazał swoje heliobromy (w dowód protestu przeciwko skrzynce i obiektywowi) oraz, że Czesław Luniewicz zaprezentował się grafizacjami, największymi formatem spośród wystawionych prac. Pozostałych artystów pomnę, w ślad zresztą za przykładem organizatorów. Ostentacyjnie zrezygnowali oni z jakiegokolwiek choćby komentarza na temat wystawy „Prezentacje autorskie”. I tym sposobem, wyłącznie wyobraźni obecnych, pozostawiono konfrontację amator-zawodowiec i fotografia polska a zagraniczna (NRD, CSRS i Węgry).

No i właśnie: czego wymagać od amatorów, jeśli sami profesjonalści unikają krytyki? Ta wyjątkowa tolerancja i demokracja jest pozorna. Nawet wśród nich brak mechanizmu selekcji. Integralną częścią Konfrontacji od 1977 r. stały się sympozja. Referaty i wystąpienia, staraniem organizatorów, wydano drukiem i stanowią one cenne uzupełnienie naszego piśmiennictwa, ubożego zwłaszcza w bieżące informacje. Podobnie cieszą katalogi dostępne już podczas otwarcia imprezy. A w katalogu '86 organizatorzy wyjaśniają: „uwzględniając ubiegłoroczne doświadczenia — wyraźną niechęć do teoretycznych rozważań o fotografii — a także uwzględniając trudności z pozyskaniem autorów tego rodzaju opracowań — zrezygnowaliśmy z tego punktu gorzowskich spotkań utrzymując — do lepszych czasów — w programie nazwę sympozjum”.

Istotnie, nazwa nie byłaby adekwatna. Na rozgrzewkę zaserwowano dwugodzinny chęba referat, adresowany raczej do krytyków. Wysłuchano go z należytą powagą. Później np. dr inż. S. Jabłonska (Politechnika Wrocławska) mówiła o izohelii barwnej, a dla wielu słuchaczy rewelacją była wieść o produkowanych od 10 lat przez szwajcarską firmę CIBACHROME materiałach światłoczułych, których barwa ma przetrwać wiek. Z zaciekawieniem słuchano opowieści Adama Soboty (Muzeum Narodowe-Wrocław) o galeriach w W. Brytanii. Dyskusji jednak nie było, nie udało się także rozniecić twórczej atmosfery. Złośliwcy mówią: zdecydowano już, że fotografia jest sztuka, sprzyjano jakim językiem się posługuje, omawiano jej moralną odpowiedzialność, rozszczępienie z lat 70-tych, jej stan obecny i nawet perspektywę — nad czym więcej debatować? Sek w tym, że bardzo łatwo odróżnić referat-chalturniczka od tego, który ma coś ciekawego do przekazania, a trudniej to pogodzić z dobrą organizacją i tzw. społecznym zapotrzebowaniem. Przecież referatów chcieli słuchać zarówno profesjonalści (fotograficy, krytycy, teoretycy sztuki) jak też chłonni nieczym gąbka amatorzy. Czy nie lepszym rozwiązaniem byłby podział na grupy tematyczne?

I jeszcze o Edwardzie Hartwigu — postaci, która wzbudziła największe zainteresowanie. Ewenementem było, iż mogliśmy obejrzeć w Gorzowie wystawę świadczącą o zmianach w podejściu do fotografii tego znakomitego artysty, od zdjęć z 1924 r. do najnowszych, tym bardziej, że parę dni po otwarciu ekspozycji, podczas autorskiego spotkania (jego termin przesuwano kilkakrotnie!) można było usłyszeć o doświadczeniach twórcy od niego osobiście. I wówczas

to, gdy nagle powiało gorącą atmosferą spotkanie przerwało z prozaicznymi powodów — twórcą spieszył na pociąg. Uważam, że spotkanie z nestorem polskiej fotografii powinno się odbyć przed częścią teoretyczną Konfrontacji. Podobnie zresztą jak omówienie prac amatorskich. Zamiast po oficjalnym otwarciu skorzystać z obecności największego grona autorów, gości, krytyków i jury — zaplanowano je na ostatni dzień. A to przecież tworzyłoby atmosferę! Mimo, że omawiający częstokroć przerasta samego siebie dorabiając ideologię do jawnej amatorszczyzny.

Na Konfrontacjach obecny był prezes FASFWP p. Zbyszek Rzeźniński — dla czego też wcześniej nie zorganizowano z nim spotkania dla amatorów? A przy okazji: z pozycji centralnej instytucji ocena stanu fotografii nieprofesjonalnej musi wypaść pozytywnie — parę faktów i garść peła. Lecz i tu zgryzta. Zrzeszonym młodym zarzuca się samo wole w planach artystycznych i wysła wienniczych, ci z kolei skarżą się na utrudnianie im działalności. Błędne koło.

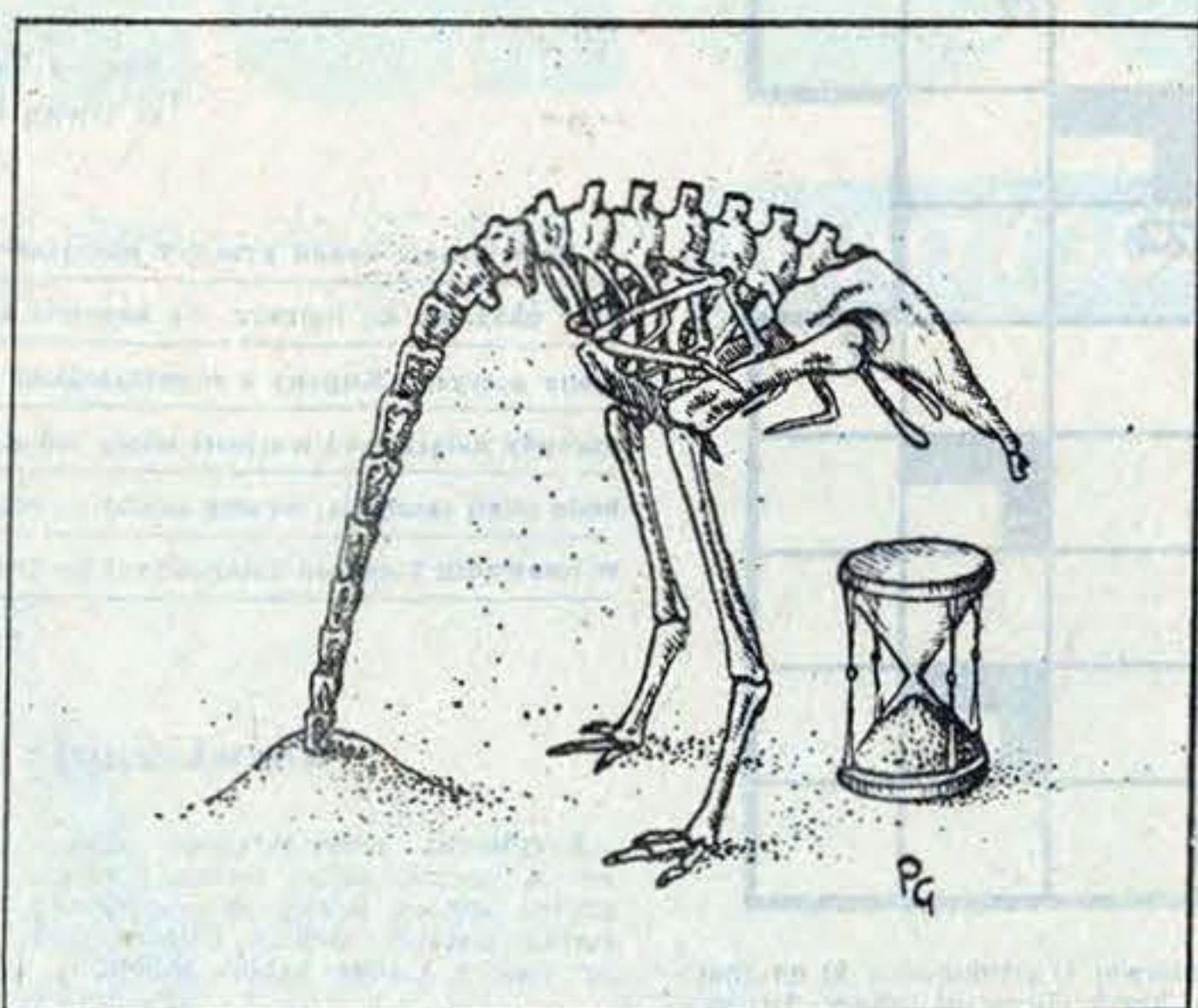
Podczas trwania Konfrontacji Gorzów wydawał się piękniejszy; przygotowywał się do przyjazdu kolarzy. Czy dlatego fotograficy nie zdolali bardziej zainteresować jego mieszkańców? Jak przystało na imprezę o zasięgu krajowym, jej organizacja powinna być dokładnie przemyślana, jej kształt nie może być zachowawczy. W ubiegłorocznym katalogu pisało, że ukształtowany w 1977 r. profil Konfrontacji jest aktualny do dziś i optymalny w ich (gorzowskich?) warunkach. Czy na pewno? Pomysłowość na uatrakcyjnienie chyba nie brakuje, nie wszystkie wymagają dodatkowych funduszy od gorzowskich organizatorów. Sądzę, że wystawy byłyby ciekawsze, gdyby warunkiem udziału w nich była premierowa ekspozycja. Najlepiej zestaw prac zaprezentowane w innych miastach kraju, upowszechniłoby nie tylko dobrą fotografię ale i samą imprezę. A gdyby tak ustanowić symboliczną nagrodę za najlepszy zestaw profesjonalny, którą przyznawaliby amatorzy? Czy nie warto także zastanowić się nad corocznym tworzeniem zestawów prac profesjonalistów, które pozostałyby w Gorzowie? Może w formie za kupu, co nie jest bez znaczenia dla twórców w obecnej sytuacji. Może to właśnie poczucie bezcelowości, brak bodźca spowodował spadek zainteresowania wśród artystów i zaangażowanych amatorów? Ewentualne towarzyszące plenery byłyby pożytkiem dla miasta i, sądzę, skonsolidowałyby samych twórców. Tymczasem niektórzy z nich upatrują ogromną konkurencję dla Gorzowa w Forum Sztuki Fotograficznej FASFWP w Unieście, i chyba słusznie. Zaś artyści — w spotkaniach w Czarniejewie czy Skokach.

Nie jestem krytykiem ani historykiem sztuki; zanotowane tu refleksje, może też zbyt uogólniające, są wynikiem zafascynowania fotografią i bynajmniej nie są odkrywcze. Żal tylko, iż gorzowska impreza nie dała miarodajnego obrazu stanu polskiej fotografii.

Ktoś mógłby rzec, iż czepliłem się drobiazgów. Jeśli tak, to na koniec jeszcze jeden: miarę imprezy jest udział w niej rzeczywistych indywidualności, a choćby zainstalowano tuzin mikrofonów — jej rangi to nie podniesie.

ELŻBIETA LEŃSKA

Czas strusia



Rys. P. Gajdowski

nie od dziś narzeka się na swoisty analfabetyzm fotografujący. W przeciwieństwie choćby do sąsiadów zza morza nie kształcimy fotografików. Jest to temat sam w sobie obszerny i irytujący tym bardziej, że nie kwestionuje się dziś ogromnego znaczenia wielu funkcji społecznych i kulturotwórczych fotografii oraz jej naturalnej przewagi nad pozostałymi dziedzinami sztuki. Od dziesiątków lat, jakby wbrew przed wojennym tradycjom, edukacja sprawa dla się do poziomu średnich szkół fotograficznych. Tym zaś, którzy chcą zdołać być szerszą wiedzę, nie tylko techniczną, pozostaje samokształcenie albo rozmaite kursy, szkolenia, studia itp. o charakterze raczej popularyzatorskim. Cieszy jedynie, że po 1980 r. „coś drgnęło”. Rozpoczęło kształcenie kadry fotografii w uczelniach plastycznych, można więc sądzić, że nauczanie fotografii na poziomie akademickim stanie się niebawem faktem. Co prawda instytucja szkoły nie daje koncesji na uprawianie sztuki; może ją dać (nie musi) wykształcenie artystyczne, humanistyczne i te-

razą swym zachowaniem i która rozumie ich potrzeby i dążenia. Zdawałoby się więc, że zjadą do Gorzowa jak śmy do świata. Tymczasem na 34 wybrańców zaproszonych spośród grona ok. 700 polskich artystów fotografików — 12 pokazało swe prace na Konfrontacjach. W sztuce liczy się tylko jakość, ale choćby nawet odliczyć tzw. statystycznych członków, liczby te pobudzają wyobraźnię. Konsternację wywołał nawet współgospodarz: Gorzowską Delegaturę ZPAF reprezentował tylko jeden artysta, z Zielonej Góry Nestor naszej fotografii Edward Hartwig powiedział, że twórcy jakby pochowali głowy w piasek. Takie milczenie, nieobecność, żadnemu artyście, może jednak wzbogacić twórczą osobowość. Autentyczny artysta tworzy wszak bez przerwy i co pewien czas pragnie aprobaty, a z tego można wnioskować, że mamy ciśnie przed burzą wspaniałych osiągnięć. Przecież nawet strusia co jakiś czas podnosi głowę. A z kryzysem gospodarczym, który nie ominął także fotografii radzą sobie jak mogą: np. modne

Nauczyciel z pędzlem w dłoni

NAJBARDZIEJ widowiskowe są imprezy domów i klubów osiedlowych: „Mrowiska”, „Uśmiechu”, „Pod Hubą”, gdzie studenckie inicjatywy wiążą się jednocześnie z koniecznością odbywania praktyk, otrzymywania zaliczeń.

Istotne dla funkcjonowania subkultury studenckiej są też mniej pokazowe działania podejmowane przez kluby studenckie. Jednym z nich był zorganizowany przez klub „Zatem” Wyższej Szkoły Pedagogicznej — pierwszy konkurs plastyczny dla studentów i pracowników WSP. Zaprezentowano prace w trzech kategoriach: plakatów, grafiki i malarstwa, które wystawiono — udostępniając nie tylko studentom. Zwidzającym klub „Zatem” mogły się podobać prace malarskie, głównie agresywne operujące kolorem abstrakcyjne (jak nagrodzona „Kompozycja w zieleniach” Katarzyny Kutzman), oraz ambitne i dojrzałe grafiki. Uzdolniony plastycznie Zbigniew Reszwick wyróżniony został potrójnie — za rysunek „Chłopiec z cieniem”, za wszystkie przedstawione swoje próby graficzne, a także za obraz malarski „Lotem bliżej”. Ciekawie zaprezentowała się również Elżbieta Wysocka. W jej nagrodzonym „Tryptyku” dziecko, wdrapawszy się na kłk krzesła, podgląda świat przez ogromną dziurkę od klucza. Podobna dojrzałość i refleksję zdradza rysunek: Krzysztof M. Nowaka. Delikatna i postrzę-

piona kreska tworzy nastroj niedopowiedzenia, tajemniczości, nawet gotyckiej grozy.

Jeden z rysunków Piotra Tkaczuka pokazuje przechyloną i zmieniającą kierunek żaglówkę, obserwowaną i niejako chronioną przez wznoszący się ponad jeziorem szybowiec. Symbol kondycji życiowej i psychicznej powtórzył się w nagromadzonym rysunku, w któ-

rym na kolorowym, niemal tęczowym tle umieszczona została łaka — czarne trawy, dmuchawce, rumianki. Inne rysunki P. Tkaczuka są owocem jego zainteresowania drzeworytem japońskim, twórczością Wyspiańskiego — nastroj refleksji pogłębia się przy pracach operujących światłocieniem i charakterystyczną dla secesji kreską.

Gdyby ów konkurs ocenić na podstawie ilości zgłoszonych prac — ich tematyki i poziomu, należałby się cieszyć, iż spełniony został warunek kulturalnego pobudzenia środowiska, i penetracja jego możliwości twórczych. Wyjście we założenie samego konkursu.

MMK

nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
ORGAN LUBUSKIEGO
TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-001 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13 I p. adres dla korespondencji: 65-554 Zielona Góra skrytka pocztowa nr 48. Telefon: redakcja: 31-02-11; sekretariat: 31-02-12; sekretarz redakcji: 31-13 oraz centrala 46-61 do 7. Inne telefony wewnętrzne: Telex 0432358. Redaguje zespół: Halina Ańska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Kosiński (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Mastowska (statystyka), Zenon Łukasz

wicz (z-ca red. naczelny), Wiesław Nodzyński (sekretarz red.), Piotr Piotrowski, Ryszard Kowalski, Alfred Słatecki. Korekta: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterow, sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska. Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe al. Niepodległości 23 65-043 Zielona Góra. Kartyka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Dyrektor: Zbigniew Pietkiewicz tel. 712-95.

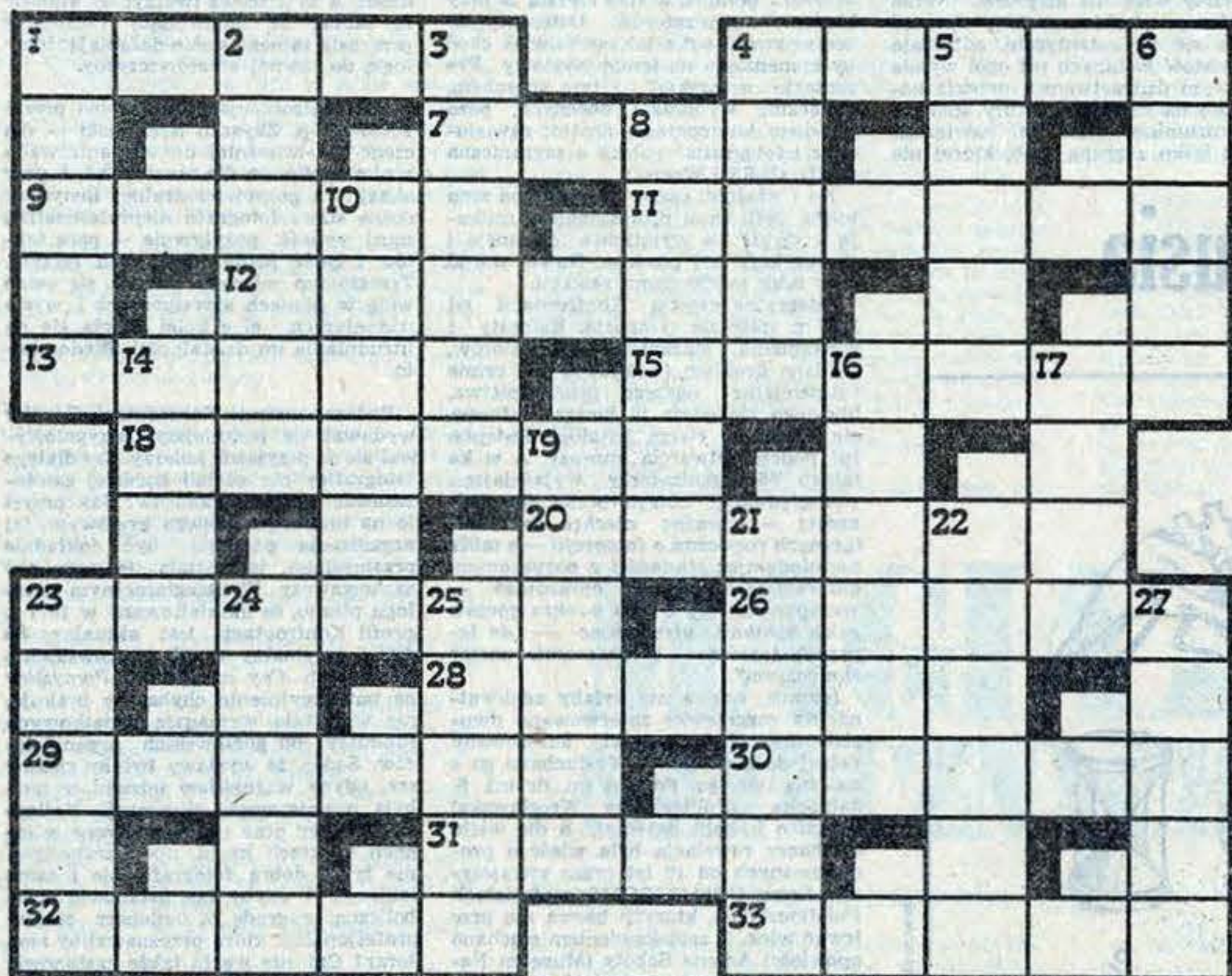
Druk: Drukarnia Prasowa ZWP 65-076 Zielona Góra ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmują Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa — Książka — Ruch” 65-043 Zielona Góra al. Niepodległości 23 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa — Książka — Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów (tekstów i fotografii) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

Zam. 863 I-20

nadodrze

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Oprac. Stanisław Patycki



Krzyżówka

Poziomo: 1) Mazowiecki lub Podhalański, 4) stanowcze polecenie, 7) kończy, 9) rodzaj farby z domieszką kredy, 11) po wyzwoleniu siedziba PKWN, 12) otula szyję, 13) atramentowa plama,

15) prozaik polski współautor scenariusza „Stawki większej niż życie”, 18) Indianin z okolic Wielkich Jezior, 20) dojrzała komórka rozrodcza, 23) rodzaj kawy, 26) wyżyna w USA, 28) polski architekt i teoretyk architektury (1736-1841), 29) rzemieślnik od uprząży, 30) w naszym godle, 31) szal tropikalny, 32) wartownik, 33) wódz Rewolucji Październikowej.

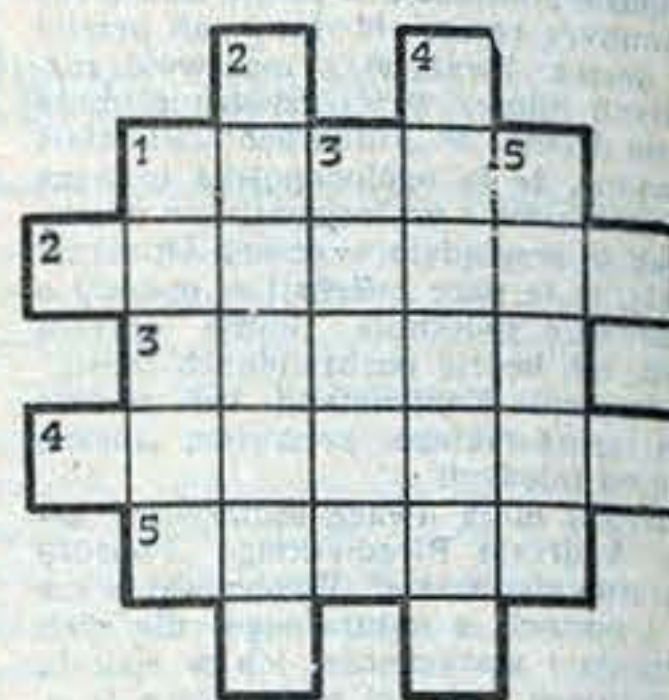
Pionowo: 1) sztukmistrz, 2) na znaczki, 4) krzyk, 5) polski bokser, dwukrotny złoty medalista olimpijski, 6) filozof z Kition, 8) błona fotograficzna, 10) uczelnia, 14) drzewo Kochanowskiego, 16) pracownik obróbki metalu, 17) glon morski, 19) samolubstwo, 21) okulary babci, 22) człowiek — małpa, 23) przyjaciel Engelsa, 24) wybitny polski kartograf, 25) hotel auta, 27) wydra morska.

Magiczna krzyżówka lipogramowa

Wszystkie wyrazy zawierają taką samą samogłoskę.

Znaczenie wyrazów:

- 1) słoń
- 2) pojazd wodny ze skrzydłami
- 3) rodzaj smaru
- 4) wybitny poeta grecki, autor słów do obecnego hymnu Grecji
- 5) wirnik



Homonim

Płynie z łodzi rybak...,
za ławicą srebrnych...

Rozwiązania zadań prosimy nadsyłać na adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Na kopercie lub karcie należy nakleić kupon zamieszczony powyżej. Kupony z rozwiązaniami trzech zadań wezmą udział w losowaniu nagrody książkowej wartości około 300 zł. Czytelnicy, którzy w tym losowaniu nie będą mieli szczęścia, wezmą udział — razem z tymi, którzy rozwiązali 2 zadania — w losowaniu 2 nagród książkowych po 200 zł.

Rozwiązanie zadań z nr 15

Krzyżówka prawoskrotna: kraksa, szkoła, poczta, kotlet, wróżka, powała, szkapa, sokora, piórko, skopek, ziomek, siarka, pokarm, kodeks, komora, Sanctor, rudera, kredka, kablak, robota.

potwór, Patagonia, nawał, pop, muzykolog, łód, jogin, łapka, Marna, nodus, senat, ład.

KALAMBUR — „starość”

Nagrody książkowe wylosowali: p. Jurand Rózanek, 64-335 Chrośnica (za rozwiązanie trzech zadań) oraz p. Maria Rudnicka, ul. Serbska 9/1, 68-200 Żary i p. Zygmunt Kruczyk, ul. Świętojańska 72, 81-912 Gdynia 12. Gratulujemy. Nagrody prześlemy we wrześniu br.



Uczciwi żyją gorzej?

Felietonista „Przeglądu Technicznego” Sylwester Thim zastanawia się w numerze 28 tego pisma nad problemem równości. Niewłaściwie pojęty egalitaryzm jest pierwszorzędną przyczyną naszych kłopotów z państwem i jego gospodarką. Tak! Problemy gospodarki, niezadowolone kolejkowiczów, frustracje młodzieży, to skutek mętnych wyobrażeń o równości w państwie socjalistycznym. W tym miejscu posłuję się sugestywnym cytatem z felietonu Sylwestra Thima pt. „Węzeł pseudogordyjski”: „Jeśli obywateli A i B pokonał polityk i ob. A zgłosił dziesięć patentów, w tym dwa rewelacyjne, ob. B. zaś w tym samym czasie zgłosił jedynie w przychodni zdrowia chorobę weneryczną, to zgodnie z zasadą sprawiedliwości społecznej oraz świadczeń socjalnych — inżynier A powinien żyć znacznie lepiej niż inżynier B. ten natomiast powinien być leczony za darmo”. Nic dodać, nie ująć. W gruncie rzeczy wszyscy się pod tym podpisujemy. Nasze myślenie ulega natychmiastowemu przeobrażeniu, gdy miast abstrakcyjnych A i B, jesteśmy my, czyli Ja i Kowalski. Kowalski nie ma dzieci, bo pewnie nie może, a Ja mam czwórkę potomstwa, żonę i matkę na utrzymaniu. To dla Kowalskiego dostać wyższą „czternastą”, „piętnastą” pensję od mnie? Nie bierzemy jednak pod uwagę faktu, że choć Kowalski nie ma dzieci to jednak na dzieci pracuje, pracuje na utrzymanie ich szkoły, lekarzy, wyższej uczelni, a wreszcie pracuje lepiej

od nas. Tak, ale Ja potrzebuję gotówki, a szkoła, lekarze i wyższe uczelnie będą bez Kowalskiego i tak. Dlatego jeśli dobrze popyskujemy i przydusimy szefa, to ten odbierze Kowalskiemu i doda nam, Kowalski nie na to nie zrobi, bo nawet się nie zorientuje: tak skubany jest zaabsorbowany pracą.

Jak być powinno napisał Sylwester Thim, jak jest powiedział mi pewien budowlaniec. Dwóch murarzy o takich samych siłach i umiejętnościach, pracujących w tym samym przedsiębiorstwie, pobiera jednak w kasie przedsiębiorstwa bardzo różnicowane pobyry, jeden zarabia na przykład 30 tys. a drugi 15. Zagadka, któremu z nich powodzi się lepiej? Wcale nie temu z trzydziestoma tysiącami, bo wbrew pozorom dochody drugiego są znacznie wyższe. On przychodzi do pracy odpocząć, a rzeczywiste kokosy zbija na fuchach. Pierwszy ma już po pracy wszystkiego dość, chce tylko w miarę dobrze zjeść, popatrzyć w telewizor i doczekać urlopu. Podczas gdy drugi wypoczywa na urlopie, gdyż jest mu to niezbędne do zregenerowania sił, pierwszy rozwija dopiero skrzydła na prywatnych budowach. Pierwszego bije po kieszeni „średnia na głowę”, drugi korzysta z wszelkich możliwych ulg, gdyż w jego rodzinie średnia, wg księgowości, jest znacznie niższa.

Nie neguję, że nasze społeczeństwo uległo znacznej pauperyzacji, ale znacznie trudniej jest wskazać wśród nas rzeczywistych biedaków. Na pewno istnieją ludzie z trudem zaspokajający swoje podstawowe potrzeby. Ale gdzie ich można spotkać? Może stoja w kolejce po zagraniczne paczki, a może w tłumie kalek i emerytów wyciekających na dostawę kawy, bułgarskiego wina musującego czy czekolady. Zaczynam wątpić w ich biedę i stary portfel, gdy przypominam sobie dawniejsze czasy, w których czekolada czy szampan kupowane były od wielkiego dzwonu, choć nie brakowało ich na sklepowych półkach. Sądzę, że obok rzeczywistej biedy powstała moda na biedę. Właściciel fiata czuje się biedakiem w stosunku do właściciela mercedesa, właściciel mercedesa ma pretensje do świata o brak woli i jachtu. W tym powszechnym języku i utyskiwaniach gubią się proporcje, uczciwi karani są za uczciwość, pracowici za pracowitość, biedni siedzą cicho bo wstydzą się swojej biedy, a nasza rzeczywistość wykoślawiana jest przez wspólny jęk o kolejne przywileje. Tylko, że w naszej historii był już taki okres gdy władcy szafowali przywilejami i wiadomo jak to się zakończyło.

PIOTR PIOTROWSKI



Frustraci

Właściwie — wielu z nas mogłoby znacznie lepiej pracować, gdyby... gdybyśmy nie byli tacy sfrustrowani. Owo kiepskie profesjonalne samopoczucie charakterystyczne jest szczególnie dla osób zatrudniających się na stanowiskach „umysłowych”. Fatalny nastrój je dności promieniuje na otoczenie, nadwiera ogólną atmosferę społeczną, osłabia w wielu miejscach efekty naszej go wysiłku.

Odnosimy się z pretensjami do siebie samych i nie tylko. Niekiedy sprawia nam to ulgę. Pozwala jednocześnie łatwiej trwać w tym punkcie, za który otrzymujemy regularne wynagrodzenie. W ten sposób również, we własnych oczach przynajmniej, podwyższamy swoją wartość.

W końcu przyjemnie jest mniemać, iż stać nas na znacznie więcej, niż wynika „na oko” z naszego etatu. Niekiedy nawet taka refleksja mobilizuje ko go do nadzwyczajnego zrywu, co przy nosi też czasem niezwykle osiągnięcia. Jeżeli rzeczy w ten sposób się układają, dzieje się wspaniale. Oby tylko częściej. Proza życiowa — niestety — jest smutniejsza.

Oto kierowca autobusu ma stale kwaśną minę, piekli się, liczy skrupulatnie pasażerów, wrzeszczy, gdy ktoś prosi, by wyszedł otworzyć bagażnik na duże walizki i namiot. „Ciężarówkę se pan najmij”. Daje do zrozumienia, iż dobrze, że w ogóle do pokaasu przyszedł pracować. On — taki znakomity, inteligentny, ze średnim wykształceniem fa chowiec. Przecież w zasadzie nie musi odwaliać tej szarzyzny. Mógłby, gdyby tylko chciał, wozić biskupa. Inny jego kolega — znowu, gdyby tylko zechciał, z jego przygotowaniem — mógłby z powodzeniem być co najmniej zastępcą rektora w przedsiębiorstwie, a on praktycznie się godzi na takie cyrki z podróży holotą.

Lekarz robi naburmuszoną minę pod czas badania pacjentów. Denerwuje się z byle powodu. Gdy rozpoczynając pracę w przychodni przemierza pocze-

kalnie, nie powie oczekującym na niego osobom nawet zdawkowego „dzień dobry”. Głowę nosi wysoko. Wszyscy powinni mu stale dziękować za to, że w ogóle godzi się tu żyć, „funkcjonować”. On, tak wspaniały specjalista, du si się w prowincjonalnej mieścinie. A przecież — jeśli tylko chciał — z ho norami przyjmowałby go w renomowanej klinice w wielkim wojewódzkim mieście. To, co tu robi, nie odzwierciedla wcale jego mistrzostwa, wiedzy. Czy można w takiej „dziurze” pracować na pełnych obrotach?

Urzędnik podobnie szamocze się z sobą. Bractwo zawraca mu ciągle głowę, nie wiadomo po co, ludzie wymyślają problemy. Czemu nie idą z nim do ko legi obok, tylko do niego? On jest przecież stworzony do rzeczy wyższych. Po siadacz znakomitego dyplomu; nikt pod tym względem w całym biurze nie może się z nim równać. Siedzi oto pa rą lat w niegdyśjszym powiatowym mieście, a na pewno zasługuje — z ta kimi referencjami — przynajmniej na fotel dyrektora departamentu. Więc się kwasi i się męczy. I nie blizszy inicja tywą, operatywnością, bo co tu na tym

szczęśliu wywołuje? Tu się już nie nie zmienia.

W rezultacie nieraz, niezadowolony z siebie, w poczuciu wybujałych ambicji, nie silimy się na polot, na nadzwyczajną solidność w wykonywaniu profesjonalnych obowiązków, jakie na nas ciąży. Powoduje to zniechęcenie, zdenerwowanie innych osób, co w sumie wpły wa na osłabianie działalności produkcyjnej, gospodarczej, organizatorskiej. „Rozdrapywanie” swoich niespełnionych oczekiwań nie przynosi społeczne go pożytku. Nie sprzyja również realizo waniu własnych ambicji faktycznie uza sadnionych.

A kogo stać na kadrowe wyżyny? Nie ma w Polsce przymusu, przywiązania do określonego stanowiska, miejsca pracy. Zamiast fochów — niech ktoś za kierownicy autobusu przeniesie się do gabinetu dyrektorskiego, z prowincjonalnego szpitala do akademii medycznej, z niewielkiego urzędu do ministerstwa itd. itp. Nikt nikogo przecież nie trzyma.

STANISŁAW SWINIARSKI



Fot. KRZYSZTOF MĘŻYŃSKI